



Hasło niepoprawne
Podpisany, Niżej

Published: 2008

Categorie(s): Fiction, Short Stories, Humorous, Technological

Source: <http://passwordincorrect.com>

About Podpisany:

Pojemność pamięci 997,2 GB. Ciagle na chodzie, mimo oznak łysienia na płycie głównej. Internetoholik. Uzależnienie pogłębia się mimo 17 zabiegów resetu głównego i codziennych ćwiczeń z restartu metodą B. Gatesa. Od 12 lat poszukuje dyskietki, na której zapisał (lub przynajmniej tak mu się zdawało) swój pierwszy biały e-wiersz Czas się zawiesić, będący egzystencjalną wędrówką po ciemnych, wilgotnych zakamarkach DOS-u. Miłośnik serwisów społecznościowych, żab człekokształtnych, polowań z nagonką na zabłąkane trojany i internetowych winiarni z dostawą po kablu. Nakłada skarpetki w technologii dwuprocessorowej, a w wolnych chwilach pisze opowiadania.

Copyright: Please read the legal notice included in this e-book and/or check the copyright status in your country.

Note: This book is brought to you by Feedbooks

<http://www.feedbooks.com>

Strictly for personal use, do not use this file for commercial purposes.

Hasło niepoprawne

Ta opowieść będzie do bólu banalna, więc będzie też do bólu krótka.

Piotr Maria Kędzierzyna herbu Obuch kupił sobie najnowszy model komórki 25. generacji, marki Siemens-BenQ-Nokia-LG ABC123, mieszczącej wszystkie osiągnięcia cywilizacji ludzkiej do czasu objęcia przez Billa Gatesa funkcji honorowego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Herbu Obuch, szef ważnego działu ważnej firmy informatycznej spędził całe dwa tygodnie na wprowadzaniu wszystkich danych, jakie były przydatne w jego życiu. Nie chodziło tu tylko o dane teleadresowe. Wpisał też wszystkie kody, piny, hasła, adresy mejlowe i sposoby ich konfiguracji, imiona rodziców, imiona i nazwiska dalszych członków rodziny oraz stopień pokrewieństwa, ważne daty z życia, grupę krwi, datę urodzenia, numery dowodu osobistego, paszportu, prawa jazdy, rachunków bankowych, pierwszą dziesiątkę jego ulubionych książek, filmów, płyt kompaktowych, dań wykwintnych, drinków alkoholowych, pól golfowych, obrazów malarzy współczesnych, sreber rodowych i europejskich pałacyków w stylu rokoko. Dodał też pierwszą dziesiątkę egzotycznych krajów i miejsc, do których miał zamiar się udać.

Po dwóch tygodniach Piotr herbu Obuch zdał sobie sprawę, że komórka przedstawia dla niego wartość większą niż obraz pierwszego na liście malarza de Bonneta-Majaka. Postanowił zabezpieczyć ją dodatkowym hasłem. Brzmiało ono:

– *****.

Na wszelki wypadek ustawił jeszcze drugie hasło przy otwieraniu dokumentów z danymi, jak to nazywał „osobiście strategicznymi”. Oba hasła wpisał do komórki – na wszelki wypadek.

Któregoś dnia zarysował swój aparat w czasie rozmowy telefonicznej z pewną panią. Rysa była niewielka, ale w sercu Kędzierzyny herbu Obuch siała spustoszenie przez dwa tygodnie, doprowadzając go do rozpaczki oraz poterapeutycznej konkluzji, że żyje zbyt intensywnie i musi wyciszyć swój rozedrgany umysł. Akurat bawił się komórką, gdy przez przypadek pojawiła się aplikacja z pierwszą dziesiątką egzotycznych miejsc.

– Nepal – przeczytał Herbu Obuch i już dwa dni później siedział w samolocie do Katmandu.

Komórkę zostawił w przechowalni bagażu na lotnisku, by nie zarysować jej z drugiej strony.

Trzy miesiące później Piotr wrócił do kraju, odebrał komórkę i nie mógł sobie przypomnieć hasła, które brzmiało:

– *****.

Wkrótce zauważono w parku miejskim turystę z plecakiem, błąkającego się po alejkach i powtarzającego w kółko różne słowa pięcioliterowe. Nie znał swojego imienia, nazwiska ani nie był w stanie powiedzieć, gdzie mieszka.

Życzenia szpadel naj

Sławek Przekośniak dostał na wigilię SMS z życzeniami: „Życzę yo dobry ping fajno nowy”. Nie wiedział, kto wysłał mu tę zadziwiająco enigmatyczną wiadomość. Nie wie do dziś, a szkoda – tej właśnie osobie zawdzięcza swój obecny status i miejsce na liście pierwszych 67 najbogatszych Polaków.

Wtedy, w piękny biało-rdzawy wigilijny wieczór, Przekośniak, parę dni wcześniej wyrzucony z portalu dla utopijnych fanatyków fobii ekstremalnych (www.ilovefobia.pl), wpadł na pewien pomysł.

Był to niezły pomysł, a następny SMS („Wszystkiego a bryka niechący tylko szczerego baranek”) utwierdził go w przekonaniu, że był to pomysł życia.

Sławek Przekośniak postanowił założyć ze swoim kolegą z Ilovefobia.pl Czeskiem Ciagiem, serwis internetowy, przez który można byłoby wysyłać życzenia na telefony komórkowe. Najważniejszą zaletą serwisu miało być to, że treść życzeń nie była z góry ustalona, nie wybierało się ich z listy, ale tworzone były z przypadkowych słów według wytycznych internauty przez specjalnie opracowany do tego program. Pozwoliłoby to na wysyłanie życzeń oryginalnych, a nikt przecież nie powiedział, że muszą być zrozumiałe.

Opracowaniem programu, który roboczo nazwali Janem z Dysku, zajął się Czesiek. Miał w tym doświadczenie – w portalu dla [wstaw_słowo] fobów opracował programik do układania okrzyków na demonstracje. Program, mimo że oferował sformułowania kompletnie pozbawione logiki, cieszył się dużą popularnością, a najbardziej trafione slogany uliczne można było oglądać w telewizji („Precz tam szkoda precz”, „Do nimi wora won dziś dziś”).

Dwójka przyszłych ludzi sukcesu ostro zabrała się do pracy i portal życzeń SMS-owych www.najnajnaj.pl wystartował tuż przez świętami wielkanocnymi.

Jednym z pierwszych użytkowników i entuzjastów strony była Ramona Kęstowicz z popularnego girls-bandu Puszysteron. Nie chciało jej się pisać życzeń, więc weszła na najnajnaj.pl i wypełniła krótki formularz. W rubryce „Słowa, które mają pojawić się w treści” wpisała „jajo” oraz „wesoły”, a w rubryce „Liczba słów dodatkowych” – 3. W dwa dni później otrzymała szereg telefonów od znajomych, chwaliących ją za niesamowicie kreatywne teksty życzeń. Było czym się pochwalić:

„Wesoła kozy jajo czacha smród”

„Jajo rogacizna wesołego klinem cudny”

„Amperomierze chlapnij wesołego oligoceńska jajem”

„Nietrzymanie wesoły przede jaju postmodernizmu”

Wkrótce serwis został „najbardziej innowacyjnym dokonaniem internetowym roku” według czasopisma Serwisy internetowe zaczynające się na N. Średnia zrównoważona równolegle przekierowywana trójklikalność ekskluzywna strony szybko osiągnęła poziom 34,98 i rosła w imponującym tempie. Czesiek opracował specjalny moduł do życzeń na Dzień Matki i był to strzał w dziesiątkę – tygodnik Przepuść umieścił życzenia „Mamo lewo choro bingo” w rubryce cytaty tygodnia. Od tego dnia rozpoczęła się niekontrolowana popularność serwisu. Operatorzy komórkowi zaczęli odczuwać spadek przychodów z opłat za SMS-y, ale przezorny Sławek zaproponował im udział w zyskach – w zamian za doinwestowanie i przekazanie nowoczesnych technologii.

Czesiek opracował jeszcze dwa mody: imieninowy i urodzinowy, a potem skupił się, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, na przeglądaniu stron z pełzającą golizną, co spowodowało, że Sławek jest dopiero na 67. miejscu najbogatszych Polaków. Tylko to, że wyrzucił Czeška zaraz potem (zresztą w dosyć makiaweliczny sposób – wysyłając SMS: „Ty praca tu nie spoko kapencjusz finito”) spowodowało, że doszedł aż na miejsce 67. Ale była to tylko i wyłącznie jego wyłączna i jedyna na wyłączność zasługa. I nawet żonie by nie podziękował, jakby dostał nagrodę „Inzabizy” za stronę roku, na jaką wciąż liczył i za jaką cały czas lobbował.

By dać szansę szczęściu i zdobyć jeszcze większy rozgłos, Przekośniak wysłał, podając się za „Wielbiciele”, SMS-y do redaktorów naczelnych opiniotwórczych gazet i znanych polityków; ludzi kultury, showbiznesu, nauki, zdrowego trybu odżywiania się, pielęgnowania roślin doniczkowych; nauczycieli tańca obronnego qualadora i tanga parawirtualnego; jednego znajomego filozofa i pani ze sklepu z drogimi paluszkami serowymi.

Jak się spodziewał, reakcja była spontaniczna, euforyczna i jednoznacznie przychylna. Z jednym wyjątkiem – polityk powiązany ze służbą domową szefa swojego koła parlamentarnego, o numerze telefonu komórkowego 0-609-3459812, znany z braku poczucia humoru, źle odebrał intencje autorki SMS, brzmiącego: „Życzenia szpadel naj”. Sprawa trafiła na wokandę komisji spraw oraz komisji do spraw.

Minęło dziesięć miesięcy. W swojej nowej rezydencji, na górze, (tu oznaczało to dziewiąte piętro) Przekośniak przymierzał nowy, przetykany tytanowo-kevlarową nitką niby-czarny garnitur samoukładający się. Miał odebrać wieczorem nagrodę konkursu „Przekobizy” za stronę roku

(na „Inzapbiz” nie mógł się doczekać).

67. na liście najbogatszych Polaków podobał się sobie w lustrze. Przećwiczył uśmiech i krok, sprawdził, czy w kieszeni ma kartkę z tekstem przemówienia i wygładził niezrozumiałe wybrzuszenie tkankowe na brzuchu. Z zadowoleniem wlał sobie do kieliszka resztki otwartego dwa tygodnie temu wina suwalskiego i patrząc z uwielbieniem w swoje imponujące oblicze, powiedział:

– Zdrowie nietutejszy gardła poprzez dzwonu.

W tym czasie podjechały pod Przekośniakówkę czarne limuzyny Agencji Bezpieczeństwa Specjalnego.

Człowiek zwany Biurkiem

Krzysztof Ciepły miał pracę siedzącą. Pisał na komputerze różne literki oraz cyferki i powstawały z tego programy komputerowe. W firmie zwany był Biurkiem, ponieważ gdy był w firmie zawsze siedział za swoim mocno już zużytym kawałkiem starego stołu konferencyjnego stojącego w nieszczęśliwym kącie pokoju specjalistów od programowania. Krzysztof nie należał do ludzi rozległych, więc kawałek stołu też nie musiał być duży, co w zasadniczym stopniu rozwiązywało problemy lokalowe firmy 0-1 Computer.

Tajemnicą Ciepłego było to, że większość czasu poza biurem również spędzał za biurkiem. Pisał na komputerze różne literki oraz cyferki i powstawały z tego programy komputerowe dla firmy 1-0 Computer Associates.

W czasie, gdy Człowiek zwany Biurkiem (CzB lub w wersji alternatywnej Czub) pisał intuicyjny program do zarządzania wolnym miejscem na biurkach firm sektora informatycznego, wydarzyło się coś, czego nikt się nie spodziewał.

Ciepły przyrósł do fotela.

Pracownicy 0-1 Computer byli zawiedzeni. Oczekiwali raczej, że CzB przyrośnie do biurka. Byłoby to o wiele bardziej widowiskowe, można byłoby pośmiać się z małego prymuska, no i przezwisko, dane przez szefa programistów nabrałoby nowych kolorów. A tak – nie było nawet o czym rozmawiać w przerwie na papierosa.

Ciepły nie ukrywał, że wolałby przyrosnąć do myszki lub podkładki pod mysz. Teraz zostało mu jedynie udawanie, że zupełnie ignoruje fakt materialnego połączenia z fotelem. Udawało mu się to do czasu, gdy powinien był udać się na drugą zmianę do firmy 1-0 Computer Associates, gdzie właśnie pracował nad programem zarządzającym przestrzenią w szafkach pracowników firm telekomunikacyjnych.

Pierwsze, co poczuł Krzysztof, to duże obciążenie kręgosłupa. Dużo większe, niż mógłby sobie na to pozwolić słaby organizm prymusa programisty (w skrócie: pry-pro). Gdy wstał, wywołał ostre przycinki ze strony sąsiada, który sprowadził do pokoju na oglądanie czubowego wyjścia całą firmę lub inaczej, tych, którzy wieczorem jeszcze w niej byli. Do takich zachowań Ciepły był najzupełniej przyzwyczajony, więc z podniesionym czołem i nie bez wysiłku, przesuając się bokiem (by fotel mniej się kiwał) opuścił firmę odprowadzany wesołymi uwagami kolegów i koleżanek.

– „Człowiek zwany Fotelem”. To brzmi dużo gorzej i raczej mi nie grozi

– pomyślał z satysfakcją Ciepły, gdy podchodził do samochodu. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, jak bardzo jeden fotel może skomplikować mu życie. Z jednej strony nie musiał nigdzie prosić o miejsce do siedzenia, bo miał je zawsze ze sobą. Było to szczególnie przydatne w firmie 1-0, gdzie zawsze była walka o biurka i fotele. Z firmą 1-0 był jednak jeden mały problem – jak się do niej dostać samochodem, i to w sytuacji, gdy jest się już spóźnionym? Tego zakresu tematycznego Ciepły nie objął rozumem w jednej chwili i musiał posilkować się taksówką bagażową.

Szybko przyzwyczaił się, że ludzie patrzą na niego podejrzliwie lub po prostu drwią. Nie było to specjalnie dużo gorszym doświadczeniem niż w czasach jego młodości, gdy miał pryszczę. Z trudem przemieszczania się też sobie jakoś radził – z taksówkarzem umówił się na miesięczny abonament. Gorzej było w sprawach uczuciowych. Dziewczyna Krzysztofa Julia, która i tak miała mu za złe, że ważniejsze są dla niego programy niż kobieta, nie mogła znieść faktu obecności w łóżku tego trzeciego.

Ten trzeci zajmował za dużo miejsca, wgniatał materac i trzeszczał przy każdym obrocie. Nie mogła sobie wyobrazić seksu z chłopakiem, który jest przywiązany do fotela, a już tym bardziej seksu prowadzącego do poczęcia. Wieczory w trójkę były coraz bardziej denerwujące: dla niej, dla niego i dla fotela, który zaczął wyrażać swoje niezadowolenie poprzez luzowanie mechanizmu teleskopowego podnoszenia siedziska. Julii kojarzyło się to z niemiłym seksem zwierzęcym i po kilku dniach, kilku awanturach i jednym wieczorze cichej wymiany groźnych spojrzeń – odeszła.

– Nie martw się. Na pewno do niej nie przyrosnę – rzekła Julia na odchodne o walizce, którą trzymała w ręce.

Postanowił coś z tym zrobić, rozgryźć temat tak, jak rozgryzał zagrywki komputerowej materii nieożywionej. Wpadł na pierwszy pomysł i od razu wdrożył go w życie – wypił zgrzewkę piwa i rzucił się na łóżko, by pomyśleć w spokoju o następnych pomysłach, skoro tak dobrze się zaczęło. Niestety zapomniał, że z tyłu jest oparcie i w trakcie nawiązywania styczności materialnej z kołdrą coś mu strzeliło w kręgosłupie.

Leżał dwa dni, ale nie przechodziło.

– Mogę panu zalecić rehabilitację kręgosłupa, ale w przypadku tego tutaj, to ja się w tym nie specjalizuję, może w szpitalu na Szpulkach pan niech spyta – powiedział lekarz ortopeda przychodni rejonowej.

Na Szpulkach rozmawiał z profesorem. Podobno najlepszy w kraju.

– Drogi panie, oczywiście, że dałoby się coś zrobić, ale nie mam w tej

chwili czasu. A poza tym, to jest chyba wygodne, przyzna pan szczerze. Ja bym z tym nic nie robił. Póki się trzyma, to trzeba korzystać z życia! – rzucił profesor, nawet nie oglądając delikwenta.

W końcu CzB trafił do prywatnego specjalisty od medycyny naturalnej, który zalecił mu masaż odpośladowy i terapię antymaterialistyczną, oczywiście u siebie.

Ciepły rehabilitował się przez cztery miesiące aż pewnego ranka, gdy wstał z łóżka, zauważył, że jego prześladowca, niczym niechciany kochanek został w pościeli i nawet przewrócił się na drugi bok (a przynajmniej tak to wyglądało).

Trochę mu było szkoda, a poza tym złamał sobie rękę, gdy zapomniał, że nie ma na czym usiąść przy stole i upadł na ziemię.

Rehabilitował się kolejny miesiąc.

W czasie fotelowej rekonwalescencji Ciepłego jego obowiązki zostały przekazane szefowi programistów – temu, który tak lubił śmiać się z Czuba. Szef musiał siedzieć po nocach, gdyż nie był tak sprawny, jak jego niewielki kolega z kąta pokoju programistów.

Gdy Ciepły wrócił do firmy, wszyscy patrzyli na niego zagadkowo. Poszedł do swojego stolika i zobaczył szefa, który pracował na komputerze. Szef nawet nie chciał się przywitać. Wyglądał źle, tak jakby w ogóle nie wychodził z pracy.

– Co mu jest? – spytał Ciepły w kuchni.

– A nic. Przyniósł do biurka – powiedziała cicho recepcjonistka.

– Wszystkich nas to czeka, Krzysiu – dodał sąsiad z pokoju programistów z myszką komputerową na dłoni.

Miniantyagresor

Jak wielu wynalazców z powołania profesor Sławomir Suwak projektował jedynie te rzeczy, których sam potrzebował. Miał już kilka patentów na swoim sumieniu: automatyczny korek do otwierania wina w stanie wskazującym, przenośny zestaw gier planszowych do rozwiązywania problemów osobowościowych, portfel z minimaszynką do powielania banknotów stułotowych czy też urządzenie „dzień po” służące do bezpowrotnego eliminowania z czasoprzestrzeni dni obciążonych kacem.

Teraz przyszedł czas na miniurządzenie niedopuszczające do pojawienia się agresji psychoruchowej.

Urządzenie było bardzo proste. Ważyło około kilograma, było wielkości paczki mąki pszennej. Zakładało się je na nadgarstek prawej ręki. To ważne, by ręka była prawa, bo w przeciwnym razie wynalazek nie działał poprawnie lub, co gorsza, jego działanie było odwrotne. Należało codziennie uzupełniać minipojemniczki z substancjami pobudzającymi pozytywne procesy w organizmie doprowadzające do powrotu dobrego nastroju. Pojemniczki były trzy, a substancje były niedostępne na rynku i należało je sprowadzać drogą dyplomatyczną z USA. By urządzenie działało wystarczało włączyć funkcję stand-by. W tym trybie można było go używać nieprzerwanie przez 1,2 godziny. By naładować z powrotem baterie, potrzebny był jedynie zasilacz mieszczący się w niewielkiej walizeczce. Urządzenie, gdy było włączone, wydawało z siebie ciche mruczenie (według niektórych głośne burczenie) mające utrzymywać właściciela w dobrym nastroju.

Profesor Suwak nazwał swoje nowe dziecko miniantyagresorem.

Duże zainteresowanie produktem wykazywał koncern McPhilips, i to jeszcze na etapie prac projektowych. Firma częściowo sfinansowała nawet zakup podzespołów w swojej filii specjalizującej się produkcją komponentów do produktów zaawansowanych technologicznie. Zamówiła również prototyp urządzenia, które miało być uroczyście przedstawione do zatwierdzenia szefowi regionu Europa, Afryka i Izrael znanemu z tego, że bywał agresywny.

To miał być wielki dzień Suwaka. Środa. Trzecia środa miesiąca. W takich dniach jak ten, w końcu cyklu biopogodowego fi-alfa, najczęściej ludzi popełniało samobójstwa i dochodziło do największej liczby wypadków na różnym tle. I właśnie w taki dzień jak ta precyzyjnie wybrana środa (aż się zaczerwieniła z faktu tak wielkiego jej wyróżnienia) miniagresor powinien zrobić największe wrażenie. Suwak miał

odbyć konferencję prasową informującą o rewelacyjnym wynalazku, a później parafować umowę z McPhilipsem o współpracy przy wprowadzaniu miniantyagresora na rynek masowy.

Konferencja prasowa odbyła się jak sobie profesor wymarzył. Na początku dziennikarze byli rozdrażnieni, ale później, widząc wspaniałą nastrój Suwaka zaczęli zmieniać zdanie. Na koktajlu kilku dziennikarzy przetestowało urządzenie i wpadli w niekłamany entuzjazm. Jeden z nich postanowił napisać aż trzy artykuły (na cztery szpalty każdy), za skromną odpłatnością na pokrycie kosztów wycieczki zagranicznej syna brata stryjecznego.

Gorzej było ze spotkaniem w McPhilipsie. Biznesmeni byli rozdrażnieni i nic nie było w stanie poprawić im humoru.

– Dlaczego to jest takie duże? – powiedział jeden ważny pan.

– No właśnie, dlaczego to jest takie duże. A poza tym szef na region zmarł na atak serca, a nowy jest cichym introwertycznym flegmatykiem, więc nie doceni – dodał drugi ważny pan.

– No właśnie, nowy nie doceni, a jak pan przyniesie urządzenie, które mieści się na karcie sim, to wtedy porozmawiamy poważnie.

– No właśnie, porozmawiamy poważnie i życzymy sukcesów.

– Życzymy sukcesów i do widzenia, no właśnie.

Profesor nie wybuchnął gniewem tylko dlatego, że z trzech minipojemniczków do jego krwi dostała się dosyć duża ilość substancji prowadzących drogą dyplomatyczną z USA.

Przed wejściem do mieszkania Suwak wyłączył urządzenie, mimo że do wyczerpania baterii zostało siedem minut.

Żona przywitała go radośnie, ale zauważyła, że coś jest nie tak. Suwak zjadł obiad: stek nie był zbyt twardy, a kisielek zbyt rzadki. W łazience wisiał nowy ręcznik, a w mydelniczce leżało mydło. W koszyku na prasę gazety były poukładane datami – te najświeższe na górze.

Profesor był coraz bardziej podminowany. Pobiegnął do szafy.

– Tu cię mam, cholero jedna! – krzyknął rozjuszony, wyciągając połączone w parę skarpetki nie od pary.

Rozpoczęła się awantura, jakiej w domu profesora nie było od czasu, gdy wrócił z prezentacji przenośnego zestawu gier planszowych do rozwiązywania problemów osobowościowych.

Nad ranem, gdy zmęczona i spłakana żona zasnęła zamknięta w łazience, profesor usiadł wyczerpany na sofie i powiedział do siebie:

– No, już lepiej.

Szkoła zaoczna

We wrześniu w stolicy ruszyła szeroko reklamowana Zaoczna Społeczna Szkoła Podstawowa. Jak czytamy w pięknie wydanej broszurce reklamowej „szkoła służyć ma tym wszystkim dzieciom zamożnych rodziców, które nie mają w ciągu dnia czasu na naukę, zajmując się trudnym dziełem podtrzymywania prestiżu naszego kraju w dziedzinie szeroko pojętych gier komputerowych”.

Mówiąc krótko: jak rodzic chciał mieć spokój na cały dzień, to zostawiał dziecko w domu sam na sam z komputerem i kartonem chipsów, a jak już miało dosyć, co z reguły następowało pod wieczór, wysyłał je na dwie godziny do szkoły.

Twórcą ZSSP i jej pierwszym dyrektorem był Krzycho Jedynak, były nauczyciel wf w gimnazjum w Potylicy, entuzjasta gier komputerowych i zwycięzca, jak czytamy w pięknie wydanej broszurce, „gminnego konkursu gier Amiga”. Znając doskonale potrzeby swoich przyszłych wychowanków otworzono klasy pierwsze o profilu: platforma PSP (jedna), platforma PC (trzy), platforma GB (jedna), platforma Mac (zlikwidowana z powodu braku chętnych).

Przyszło zadziwiająco dużo zgłoszeń (cztery na jedno miejsce), co oznaczało, że dużo dzieci spędza czas na grach komputerowych oraz że dużo rodziców chce mieć spokój z dziećmi. Aby dostać się do szkoły, młodzi kandydaci musieli wykazać się dojrzałością społeczną, psychiczną oraz instynktem komputerowym badanym opatentowaną metodą pana Jedynaka. Rodzice z kolei musieli zdać egzamin z posługiwania się joystickiem oraz udokumentować miesięczne przychody w wysokości co najmniej 7000 złotych na młodocianego członka rodziny.

W czasie zapisów doszło do rękoczynów. Zawiedziony ojciec dziecka, które się nie dostało, wykrzykiwał, że do szkoły przyjęte zostały tylko bachory prominentów, za co został spoliczkowany przez redaktora Furtoka, prywatnie ojca dziecka, które dostało się do klasy B2/platforma PC.

Szkoła była w pełni przygotowana na przyjęcie wymagających uczniów. W każdej sali znajdowała się skórzana sofa oraz trzy rozkładane łóżka dla strudzonych ciężkim dniem pracy uczniów. Sale wyposażone były również w najnowsze czteroprocessorowe komputery multimedialne – po dwa na ucznia, by uczył się podzielności uwagi w symulacji współczesnego pola walki. Zajęcia były 25-minutowe, bo dłuższych nie byłyby w stanie wytrzymać przyzwyczajone do ciągłego napięcia dzieci. Na zajęciach wf ćwiczono głównie manualne zdolności posługiwania się

joystickami oraz ćwiczenia rozprostowujące kręgosłup. Zajęcia z angielskiego odbywały się codziennie, jako najważniejsze i dające możliwość szybkiego opanowywania gier nieprzetłumaczonych jeszcze na polski.

W klasie A1/platforma PSP wspólnie z wychowawcą ustalono, że każda lekcja będzie rozpoczynała się odmruczeniem motywu muzycznego z czołówki najnowszej gry Soldiers of Call of Duty in the Blitzkrieg Return to Castle Wolfenstein.

Ponieważ uczniowie zdradzali coraz częściej objawy przemęczenia oraz ADHD, pan Jedynak postanowił otworzyć, sponsorowaną przez firmy, w których pracowali rodzice, w pełni wyposażoną salę medyczną i przylegające do niej: gabinet reanimacji, gabinet wtórnej interwencji psychiatrycznej oraz gabinet zapobiegania przedwczesnej dojrzałości seksualnej.

Dyrektor na spotkaniach z rodzicami roztaczał wielkie wizje – miał zamiar otworzyć w ciągu dwóch lat cztery kolejne szkoły w stolicy (w tym jedną skonfigurowaną do gry na serwerach koreańskich) i po jednej w miastach o nasyceniu komputerami powyżej 23 procent. Przed wejściem do szkoły miała powstać gigantyczna rekonstrukcja pola walki z poziomu 3c kultowej gry Warriors of Battlefield 17 (mapa 4azur-roknights. pk3). A zamiast boiska, które i tak nie było potrzebne do rozprostowywania pleców powstała rekonstrukcja plaży Omaha dla miłośników paintballowej wersji gry Closer Combat 4 – Ostatecznie Wyparcie.

Niestety po trzech latach szkoła została zamknięta z powodu braku chętnych. Dyrektor nie wziął pod uwagę dynamicznego rozwoju gier typu multiplayer, w których użytkownicy grają ze sobą za pośrednictwem internetu, z reguły wieczorem.

Niektórzy wtajemniczeni mówią, że dzieciaki zaocznie, w czasie zajęć, oglądały strony dla dorosłych.

Szczęście w czteropaku

Wiodący światowy koncern branży produktów ekstremalnie szybko zbywalnych firma Hipsi Co. postanowiła wprowadzić na polski rynek nowy, rewolucyjny produkt – szczęście spożywcze energetyzowane – pod nazwą Happi. Oczekując wielkiego sukcesu sprzedażowego firma zdecydowała się na jednoczesne wprowadzenie wszystkich możliwych odmian: batonu energetycznego, chipsów dietetycznych, tabletek musujących oraz napoju gazowanego. Ten ostatni wariant, jako flagowy, miał być od razu sprzedawany w czteropaku.

Szczęście Happi pojawiło się na półkach sklepowych jednocześnie z największą w historii kampanią reklamową, z wykorzystaniem wielu gwiazd scen polskich i zagranicznych. Po raz pierwszy osiągnięto w stacjach telewizyjnych stan, w którym reklamy były na antenie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zmieniając kanały, nie sposób było nie trafić na przykład na dwuminutową reklamówkę z aktorką Gabriellą Starszałowską, która przekonywała, że to nie rozbierane role w filmach, ale napoje Happi dały jej prawdziwe szczęście.

To był hit rynkowy. Firma Hipsi na fali powodzenia podjęła decyzję o wylansowaniu nowych wersji: proszku magicznego najezykowego oraz kostki rosółowej wielosmakowej. Dyrektor generalny Hipsi został natychmiast awansowany na stanowisko dyrektora na region Europy Środkowej i Afrozji.

Po trzech miesiącach sprzedaż gwałtownie spadła – prawie do zera w miesiącu M4+.

Zrobiono zakrojone na szeroką skalę badania konsumenckie. Główny wniosek: konsumenci wcale nie chcą być szczęśliwi. O wiele bardziej motywują ich i odpowiednio nastrajają nieszczęścia.

Firma Hipsi rozpoczęła prace nad nowym produktem, nazwanym roboczo O'sorry'mio.

W tym samym czasie niewielka firma z Kołatkowa rozpoczęła sprzedaż na skalę lokalną bombonierek To Przykre – w gorzkiej czekoladzie oraz To Przykre – opakowanie ekonomiczne. Było to nic innego jak nieszczęście sprzedawane w postaci czekoladek wielosmakowych produkowanych z naturalnych krajowych składników.

Po dwóch miesiącach nieszczęściem z Kołatkowa zainteresowały się główne sieci hipermarketów. Rozpoczęto konfekcjonowanie bombonierek na licencji. Popularność przerosła oczekiwania właściciela firmy z Kołatkowa, który ze szczęścia rzucił się z mostu.

Sprzedaż wzrastała mimo braku nakładów na reklamę...

Wkrótce czekoladki To Przykre stały się najpopularniejszym w Polsce prezentem imieninowym, urodzinowym i świątecznym.

Doroślak

Benedykt Ossolinsky, lat 39, zaczął dzieciinnieć.

W pierwszym dniu kryzysu wieku średniego, oglądając swoją przeredzającą się czuprynę i zmarszczki na twarzy, Benedykt odnalazł w lustrzanym odbiciu swoje obłąkane spojrzenie sprzed trzydziestu lat, ze zdjęcia z zawodów modeli latających na uwięzi. Zrobił je służący Henryk w chwili, gdy mały podopieczny zapragnął mieć czerwony model dwupłatowca Curtiss Consolidated Skyhawk Crusader 3A „Bingo Star”.

Na ten nowy rodzaj spojrzenia zwrócili również uwagę koledzy z pracy, przez których (w przeważającej większości przypadków) uważany był za infantylnego rozkapryzonego maminsynka. Bardzo im to pasowało do wizerunku szefa.

Bo Benedykt był szefem, chociaż sam w to czasem nie mógł uwierzyć. Był szefem fundacji zajmującej się autopromocją rodziny Ossolinskych, znanych potomków arystokratów polsko-amerykańskich prowadzących działalność biznesową tam i działalność charytatywną tu. Stanowisko zaszczytne i prestiżowe.

W co najmniej równym stopniu jak pracownicy nie lubili Benedykta, Benedykt nie lubił swojej pracy. Uważał ją za ekstremalnie stresującą i zmuszającą do nadludzkich poświęceń. Wszystko zostało ukartowane przez rodzinę, jako pokuta za uchylanie się od pracy. Musiał udawać się do biura przynajmniej trzy razy w tygodniu na całe dwie godziny i przyjmować różnych uśmiechniętych dziennikarzy, pić z nimi kawę i słuchać. Musiał podpisywać listy i otwierać prezenty od różnych pragnących przypodobać się firm. Musiał w końcu chodzić na imprezy i na golfa, na premiery filmowe, pokazy i wernisaże. A Rodzina zaplanowała mu jedynie trzy miesiące urlopu w roku. Skandal. Na znak protestu przychodził do biura w koszulce z napisem „Uwaga, dzieciak”.

Wszystkie te wyjątkowo niekorzystne czynniki spowodowały, że Benedykt stawał się nałogowym alkoholikiem, narkomanem i erotomanem.

– Na szczęście nawet uzależnić można się z klasą – powtarzał sobie Benedykt, ciągnąc kolejną dawkę funfetaminy i popijając drinkiem Hot Benedictus.

Mówiąc słowami jego ojca: Benedykt miał wszystko i nie umiał tego docenić. I rzeczywiście, jego syn wszystko już znał, widział, wszystkiego spróbował i coraz mniej rzeczy go interesowało. Nie to, co w dzieciństwie, gdy poznawał świat, a rodzice pozwalali mu na wszystko, na co miał ochotę. I czerwonego Curtissa też dostał.

I to właśnie uzmysłowił sobie Benedykt, gdy zobaczył w lustrze swoje dzikie spojrzenie sprzed trzydziestu lat.

Następnego dnia zauważył, że ma gładszą cerę, chociaż nie stosował na noc balsamu dla mężczyzn, bo był za bardzo upojony popadaniem w uzależnienie w wielkim stylu.

– Słuchaj, gdzie się podziała twoja zmarszczka, no wiesz, ta przez którą nie mogłam zasnąć w nocy przed Galą Dobroczyńców – spytała Benedykta Ewelina, jego nowa, osiemnasta z kolei narzeczona, która miała bzika na punkcie wyglądu.

Uważała, że zmarszczka jej przyszłego męża może zepsuć zdjęcie do prasy, do którego mieli pozować. W końcu rodzice wybranka załatwili retusz w redakcjach gazet, więc wszystko dobrze się skończyło.

– Nie ma i nie będzie – odparł łobuzersko Benedykt, łapiąc się na tym, że jest całkowicie przekonany o tym, że tak właśnie będzie.

– Mój ty Benedykciu – rzuciła czule Ewelina Osiemnasta Narzeczona i spozrzała na swojego wybranka tak jakby zakochała się w nim na nowo. Przez kolejne dni i tygodnie Benedykcio analizował swój wygląd w lustrze i zauważał coraz wyraźniejsze zmiany na lepsze. Jego czupryna zaczęła wracać do czasów świetności studenckiej, kiedy mógł sobie pozwolić na stawianie włosów na cukier na członka zespołu punkowego, tego który zawsze stał z lewej i grał na takiej brązowej gitarze, która leżała teraz w piwnicy rezydencji Ossolinskich.

Dzięki powrotowi w wielkim stylu czupryny Benedykciej, Ewelina została zastąpiona Marzeną Dziewiętnastą Narzeczoną, która miała dwadzieścia lat, ale różnica wieku nie była bardzo widoczna i wciąż malała. Z tym, że Marzena była wysoka, a Benedykcio zaczął maleć, robił się coraz chudszy, a proporcje ciała się zmieniały. Wyglądał jak nastolatek, więc rodzina zabroniła mu kierować firmą.

Po jakimś czasie Marzena odeszła od niego, bo czuła się przy nim stara i wielka. Było mu to na rękę, bo większość czasu spędzał na grach komputerowych dla dzieci do lat dwunastu. Ponadto rodzice musieli wykupić dla niego cały sklep modelarski, tak aby Benedykciuś mógł godzinami sklejać modele przy wykorzystaniu starego Henryka, któremu to nie najlepiej wychodziło, bo ręce mu drżały. Stało się to przedmiotem łobuzerskich figli małego Benka, które doprowadziły starego służącego na skraj załamania nerwowego, aż ten postanowił zrezygnować ze służby u Ossolinskich.

A Benciulek przerzucał się kolejno na modele statków, modele latające (ale czerwonego Curtisa już nie chciał) oraz coraz częściej klocki Blasters oraz Galactic Wars.

Zaczął się też interesować małymi dziewczynkami. Rodzice, by nie dopuścić do skandalu, zamykali małego Benedyktusieńka w majątku w Kozierobkach Szlacheckich, gdzie podglądał swoją nową nianię Justynę, jak brała prysznic.

Rodzice kupowali mu coraz to nowe mniejsze ubranka i byli szczęśliwi – ich własny syn spełnił wielką potrzebę posiadania wnuków.

A Benedyktuś w wieku 41 lat stał się kochanym dorosłym dzieciakiem ze zdjęcia z zawodów modelarskich i rozwijał się znakomicie pod czujnym okiem rodziców. Przestał jeździć na rowerze, przestał chodzić, przestał gaworzyć, a na imieninach cioci Heleny powiedział po raz ostatni:

– Mama.

Po jakimś czasie przestał raczkować i siadać. Zrobił się malutki, a gładkiej cery zazdrościły mu wszystkie panie o udokumentowanym pochodzeniu szlacheckim. Niestety, zaczął również wypluwać kaszkę z buzi i rzucać łyżką z przecierem selerowym, co nie powinno zdarzać się dorosłemu człowiekowi pochodzącemu z dobrej rodziny. Było to powodem smutku rodziny, podobnie jak to, że siusiał w nocy i trzeba mu było zakładać pieluchy jednorazowe.

– Nie jest tak źle. Dziadek Tadeusz też to miał, i to w czasach pieluch tetrowych – pocieszał się ojciec Beniulka.

Po pewnym czasie na przyjęciu dla Polonii amerykańskiej, mały Benedyktusieniunek zaczął dobierać się do piersi swojej matki, co było już po prostu niesmaczne.

Chyba ze wstydu niemowlak zaczął się kulić w kłębek, a jego nóżki regularnie dotykały brody. Po kilku tygodniach wypadł z najmniejszej na rynku pieluchy jednorazowej.

Dzień później zniknął, a właściwie przestał być widoczny. Stał się embri- onem. Małym embrionem dorosłego człowieka w czasie kryzysu wieku średniego.

Mikrohokej

Dwóch naukowców z Ośrodka Badań nad Nowymi Chorobami Zakaźnymi wymyśliło z nudów nową grę. Któregoś dnia, w efekcie zawieszenia projektu opracowania szczepionki dynamicznie mutującej w ślad za pałeczkami grypy oczodołowej, nie mieli nic do zrobienia aż do końca dnia, a szef laboratorium nie zlecił im mycia probówek.

Postanowili zagrać w hokeja pod mikroskopem. Krażkiem miała być jedna z miliona użytych w badaniu pałeczek, a kijkami były mikroskopowe pęsety jednoramienne, w rzeczy samej przypominające kształtem kijki.

Pałeczce nie było to na rękę. Miała ochotę na odpoczynek po ciężkiej pracy polegającej na zniechęcaniu szczepionkowym, a tu białowdziankowcy znów wzięli ją w obroty, z tym że dużo intensywniejsze, a i zdrowie i kondycja nie te co w młodości, dwie godziny temu.

Naukowcy się rozochocili. Na płycie mikroskopowej wyrysowali laserem boisko, ustalili zasady, podłączyli kamerę mikroskopową do dużego monitora i grali do samego rana. Piłkę musieli zmieniać co kilkanaście minut, ale mieli duży zapas.

Następnego dnia też się nic nie działo, więc panowie kontynuowali grę. Co więcej, zaprosili do rozgrywek kolegów, a zainteresowanie było tak duże, że można było sobie pozwolić na grę systemem pucharowym. Wkrótce dołączyli do zawodów pracownicy sąsiadującej z laboratorium stacji obsługi samochodów. Byli trudnymi przeciwnikami i jeszcze trudniejszymi kibicami – wynieśli z laboratorium trochę sprzętu i flakoników. Jak się później okazało – po to, by urządzić stanowisko do gry u siebie w kanale nr 5.

Wtedy Pierwszy Zawodnik z Drugim Zawodnikiem ujrzeni w grze źródło dodatkowych skromnych dochodów. Zaczęli sprzedawać mikroskopy, a potajemnie, jako prezent gratis, do każdego sprzedanego urządzenia dołączali zestaw kilku milionów piłek.

Gra zyskiwała sympatyków w imponującym tempie, a to za pośrednictwem internetu, w którym można było znaleźć zapisy wideo pierwszych rozgrywek w ramach Światowej Federacji Mikrohokeja. Władze federacji podjęły kilka kluczowych dla wzrostu popularności decyzji. Najważniejszą z nich była ta o zmianie kształtu piłki z podłużnego na sferyczny, czyli pozwalający na dużo większą kontrolę. Po długich poszukiwaniach wybrano piłkę zaproponowaną przez uczonych z Uniwersytetu w Ghab-Akbad. Była to idealnie kulista i wyjątkowo sprężysta jednostka wirusa H4S19. Ponieważ ten śmiertelny wirus rozprzestrzenił

się metodą łatwokropelkową, podjęto zdecydowane środki ostrożności, służące zapobieganiu epidemii – zawodnicy, sędziowie główni, liniowi oraz kibice w pięciu pierwszych rzędach mieli nosić w czasie gry maski higieniczne, a każda niezdatna do użycia piłka byłaby utylizowana w kontenerach utylizacyjnych firmy Beoning opracowanych i dostarczonych na zlecenie federacji.

Wybór nowej piłki spowodował też niekontrolowany rozwój „czarnej ligi” – prowadzonych nielegalnie rozgrywek, w czasie których ani zawodnicy, ani sędziowie, ani kibice nie nosili masek, a prawdopodobieństwo zakażenia w dusznych salach było na poziomie 0,75–0,79. „Czarny hokej” został okrzyknięty w internecie najbardziej ekstremalnym sportem w historii, a jego popularność zaczęła przewyższać popularność hokeja „białego”.

Federacja zareagowała szybko. Na zbliżające się mistrzostwa świata w mikrohokeju miała być opracowana superszczepionka, którą mieliby otrzymać wszyscy uczestnicy i kibice. Nad jej opracowaniem miały pracować dwadzieścia trzy instytuty na całym świecie, w tym Ośrodek Badań nad Nowymi Chorobami Zakaźnymi. Do wiadomości: nie pracowali już w nim dwaj wybitni specjaliści – twórcy mikrohokeja – bo byli na to po prostu zbyt bogaci.

Podniosły się głosy, że szczepionka spowoduje dramatyczny spadek atrakcyjności gry. Władze federacji postanowiły więc, że decyzja o przyjęciu szczepionki będzie zależała od każdego z osobna, i każdy z osobna będzie odpowiadał samodzielnie za powikłania z tego wynikające.

Większość ludzi jednak przyjęła szczepionkę i mistrzostwa rozpoczęły się w wielkim stylu – wygraną Brazylijczyka José Pelleśa nad Kanadyjczykiem Donem Bronxem. Mecze odbywały się na stadionach piłkarskich, a kibice siedzący na widowni oglądali je na olbrzymich telebimach, których jednocześnie ekrany firmy Beoning-Bell, o wymiarach 20 x 12 metrów, były transportowane na miejsce z wykorzystaniem technologii stratosferycznej.

Do drugiej rundy wszystko odbywało się zgodnie z planem. W meczu między José Pelleśem a Leonardem Maktunowskim doszło do drobnego incydentu z udziałem technika utylizacji Larry’ego Dembovsky’ego. Larry, wrzucając do kontenera zużytą piłkę, krzyknął „o, shit!”, przewrócił się, z jego ust zaczęła płynąć limfa, z uszu dekatyzowana krew, gałki oczne uległy defragmentacji, a mięśnie udowe rozpoczęły proces zmniejszania swojej objętości w widocznym dla oka tempie.

– Nie był szczepiony – podsumował lekarz pogotowia, kichnął siarczystie i odszedł pod telebim oglądać drugą tercję, gdzie w

rozentuzjasmowanym tłumku kichnął drugi raz i zorientował się, że coś wyciekło mu niechcący z ust, a nie była to ślina.

W powietrzu krążyło eteryczne grono mierzonych w nanometrach uroczo lekkich i zwiewnych kropelek. Rozszczepiały w sobie wszystkie dwadzieścia siedem kolorów tęczy i byłyby inspiracją dla niejednego malarza lub miłośnika programów do edycji zdjęć.

Jedna z bardziej energicznych kropelek wykonała skok przez prawa kolistość boczną i dała się porwać podmuchowi wiatru, który pognał ją aż do pierwszego rzędu widowni. W chwili, gdy pani Halinne Swider krzyknęła „jeeeeest”, kropelka straciła swoją dwudziestosiedmiokolorową barwę i zanurzyła się w ciemnych czeluściach organicznych.

Po dziewięciu minutach dało się słyszeć w naczynku włoskowatym:

– Przepraszam, czy my się znamy? – głos należał do czerwonej krwinki zbyt zajętej zaleganiem z podatkami wobec tkanki łącznej.

– Były tu moje poprzedniczki. Jakies siedem miesięcy temu – powiedziała nieśmiało pałeczka i zaczęła, tym razem śmiało, obejmować krwinke i wbijać się w nią swoją jak należy przypuszczać główką.

– A tak, przypominam sobie. Ale nic im z tego nie wyszło! Ha ha ha! Ale zaraz, co pani robi? Co robisz przybłędo, puść mnie, słyszysz!?

– Wie pani, od tego czasu dużo się zmieniło. Z tym, że my, brałyśmy udział w różnych zawodach sportowych, a wy nie, więc nie fikaj – ton pałeczki zmienił się, jej głos był niższy i bardziej tubalny.

Nie ma się co dziwić – była już w środku.

IQ płodozmienne

W Instytucie Rozwoju Macierzy Organicznej opracowano oryginalną metodę „interwencyjnego bustowania” wskaźnika inteligencji, która miałyby być stosowana już na etapie życia płodowego. Podwyższenie IQ miało odbywać się metodą płodozmianu – płody dwóch starannie wyselekcjonowanych matek należało zamienić miejscami. Taka zmiana warunków zewnętrznych (a zwłaszcza odmienne zwyczaje nosicierek w przyjmowaniu używek) miała wpływać na młode organizmy stymulująco i doprowadzić do wykształcenia się w momencie ich narodzin podstawy wyjściowej do IQ większego o 50 procent.

Mimo zdecydowanego oporu organizacji ochrony nienaruszalności rozwoju dzieci nienarodzonych, grup ochrony tradycji rodziny oraz bojówek obrońców czystości rasowej, nowa metoda (licencję zakupił gigant farmaceutyczny Robots Healthcare) zaczęła cieszyć się dużym powodzeniem, tym bardziej że wprowadzono ją na rynek jednocześnie z atrakcyjnym planem kredytowym, oferowanym przez PKU. Za zabieg i późniejsze konsultacje można było płacić w ratach półtoramiesięcznych rozłożonych na 25 do 45 lat.

Proceder rozszerzał się w niespotykanym nigdy wcześniej tempie a moda na IQ większe niż 180, trwała przez kilka lat. Dzieci „generacji płodozmianu” rodziły się jak na drożdżach. Zdobywały umiejętności, nagrody, tytuły naukowe, z godnością reprezentowały nasz kraj na arenie międzynarodowej (zwłaszcza w dziedzinie inżynierii genetyczno-fraktalnej) i były oczkiem w głowie całego społeczeństwa. Potem zapotrzebowanie gwałtownie spadło, i to nie na skutek działań organizacji antypłodozmiennych.

Rodzice zorientowali się, że nie ma kto wynosić śmieci.

Kefir dnia bardzo złego

Waldemar Szary, technik żywnościowy OSM „Paziocha”, miał bardzo zły dzień – jeden z tych bardzo złych dni, które z reguły następują po jednym z tych bardzo dobrych dni. Taki dzień, w którym nic się nie udaje, a życie daje w kość bardziej niż przyjaciele z pracy. Taki dzień, w którym człowiek przypomina sobie niewinne dzieciństwo i chciałby wrócić do tych czasów, w których nie było bardzo złych dni następujących po bardzo dobrych dniach. Taki dzień, w którym człowiek patrzy w lustro i zastanawia się, czy zna tego kogoś, kto ogląda go bezczelnie swoimi zaczerwienionymi oczami. Taki dzień, w którym w powietrzu krążą myśli o oddzieleniu się od swojej cielesności, przynajmniej do czasu, gdy cielesność przestanie sprawiać kłopoty.

Mówiąc krótko: Waldemar Szary miał kaca.

A gdy miał kaca, wszystko leciało mu z rąk, co w przypadku jego pracy mogło mieć istotne znaczenie. Dlatego naczelny technik żywnościowy czołowej spółdzielni mleczarskiej w kraju pólleżał za kotłem mieszalniczym i marzył o tym, żeby zapomnieć o negatywnym stymulowaniu jego komórek nerwowych przez osiemdziesiąt trzy kilogramy swojej żywej wagi.

– Szary do kierownika! – usłyszał jak przez mgłę akustyczną obolały specjalista od komponowania nowych smaków.

– Szary zrobisz mi nowy jakiś produkt. Tylko żeby był nowy i przebojowy, a nie jak poprzednio te przesłodzone jogurciki, że się pozał. Przyjeżdża dzisiaj delegacja tych Francuzików kwaśnomleków i muszę coś mieć za godzinę. No, do roboty, bo czas mija, a mija on tobie, a nie mi – półkrzyczał kierownik działu produkcji, co było typowe dla niego w czasie bardzo złych dni, które następują po bardzo dobrych dniach.

Ostatni bardzo dobry dzień upłynął i jednemu, i drugiemu pod znakiem imienin u pani Elwiry, głównej księgowej, która co roku robiła przyjęcie i wszyscy do niej przychodzili, bo jak nie przyszli, to potem zapomniała im przesyłać pensje na konto. I kierownik, i technik zaprawili się tą samą wódką, co więcej z tej samej butelki, co więcej w objęciach nawzajemnych, o czym lepiej, żeby sobie nie przypominali.

– Nowy produkt, nowy produkt w godzinę... poprzednio były trzy – grymasił Szary, z trudem otwierając szafkę ingredientową. Tydzień temu przysłali nowe smaki z Kolonii Francuskich. Lśniące od nowości puszkę kuszy nazwami i napawały optymizmem: owoce leśne a la mango, owoce egzotyczne ze skwarkami, owocowo-grzybowy, warzywno-marchewkowo-błonnikowy, naturalny smak kefiru

domowego, ekscentryczna pomarańcza o smaku malinowym i inne. Czas mijał, a Szary wolno zabierał się do pracy, wiedząc, że ostatnie czterdzieści pięć minut musi poświęcić na testowanie smaku, co zawsze kończyło się w łazience. Myślał sobie, że kierownik specjalnie dał mu to zadanie akurat dzisiaj, żeby całkowicie obrzydzić mu życie po imprezie u księgowej. Ale co było zrobić – wlał drżącą ręką do małej kadzi świeży jogurt sprzed dwóch tygodni. Do eksperymentów używał wyłącznie tego jogurtu, bo nie powodował sensacji żołądkowych tak gwałtownych, jak te naturalne, niestabilizowane etkami (E298, E301, E980). Dolał jeszcze trochę, bo wcześniej mu się rozlało i teraz też mu się rozlało, i miał już dosyć, i poszedł za każdą mieszalniczą półkę przez chwilę i zapomnieć o swoich osiemdziesięciu trzech kilogramach.

Obudził go głos sekretarki:

– Szary do kierownika!

Technik pragnący uciec do dnia jutrzejszego ocknął się i zerwał na nogi, nie do końca równe. Rzucił się od szafki do stołu z aparaturą. Wlał trochę kefiru w siebie, a potem, chyba przez pomyłkę, do kadzi. Cały drżał, gdy otwierał puszki ze smakami – wiedział, że ma dwie minuty, bo potem rozlegnie się na cały zakład głos z megafonu:

– Szary proszony na dywanik do prezesa!

Wsypał jeden smak i zamieszał, potem jeszcze jeden, ale mu się rozsypał. Nie sprawdził trzeciego, ale też wsypał. Doświadczenie podpowiadało mu, że im smak mniej określony, tym bardziej przechodzi u kierownika.

– Może z tym kefirem to nie jest zły pomysł. Kierownik przecież też ma kaca – przeleciało mu przez myśl, gdy wsypywał kolejne smaki.

Potem dolał jeszcze kefiru i dosypał smak kefiru domowego, ale nie za dużo, bo ręce mu drżały, a potem musiał jeszcze zamieszać i dodać trochę etek. Z tym poszło szybko, bo miał już gotową kompozycję stabilizatorów, polepszaczy i dosmakaczy, która jak dotąd zawsze się sprawdzała.

– Szary do prezesa na dywanik!

I pobiegł technik OSM „Paziocha” do prezesa, gdzie czekał już i kierownik produkcji.

Wziął głęboki odddech:

– Kefir o smaku jogurtu wieloowocowo-wielowarzywnego – powiedział w duchu posepnego entuzjazmu i oparł się o ścianę w oczekiwaniu na rozstrzelanie wzrokiem.

– Łyżkie mie da – powiedział prezes i jak na znawcę przystało zaczął od wachania. Potem spróbował i kazał zrobić to samo kierownikowi.

– No! – powiedział po chwili, co w większości przypadków oznaczało,

że jest dobrze.

– Tak, no, postarałeś się Szary tym razem. To jest dobre, prawda panie prezesie? – półszepnął kierownik, co robił zawsze w stosunku do prezesa w czasie jednego z tych bardzo złych dni.

– No tak, mie to jest dobre. I Francuzowi też. A kiedy one przychodzą, te babojady?

– A nie, to dopiero popopojutrze albo i po – powiedział kierownik i zaczął szybko jeść w ramach zmiany tematu przewodniego. – No dobre, takie wielosmakowe.

– No dobre. A potem zrobimy jogurta o smaku kefiru naturalnego z kawałkami świeżych owoców, tych z dostawy tej, co leży od trzech lat, bo za słodkie – powiedział prezes, a Szary mógł już teraz zaliczyć dzień do tych bardzo złych, a nie do tych bardzo, bardzo, bardzo złych.

Nos numer 32

Jolanta Moczydłowska, była modelka drugoipółligowych pokazów mody, niespełniona prezenterka MTV i trzykrotnie spełniona małżonka z rozsądku, nie lubiła swojego nosa. Raz był za mały, raz był za duży, a raz nie na tym miejscu, co trzeba. Wszystko zależało od pory dnia, samopoczucia i liczby luster w zasięgu wzroku.

Było wczesne przedpołudnie. W pięknej willi czwartego męża słońce zaglądało radośnie do sypialni Jolanty, która chcąc nie chcąc musiała wstać, bo po pierwsze nie lubiła spać ze słońcem plątającym się po jej twarzy (mogą być bąble), a po drugie musiała iść do kosmetyczki (by nie było bąbli). Wstawała pół godziny (czyli półtorej godziny), zjadła lekkie śniadanie i zorientowała się, że tego dnia nie będzie lubiła wypukłości lewego nozdrza.

– Znowu zmarnowany dzień – powiedziała eks-modelka do swojego odbicia w ekranie olbrzymiego telewizora i włączyła kanał dla kobiet:

– Opracowano nową, rewelacyjną metodę chirurgii plastycznej, pozwalającą na dokonywanie operacji jednego organu praktycznie nieskończoną liczbę razy. Co więcej, czas między jednym a drugim zabiegiem zostanie skrócony do trzech dni, co dla wymagających współczesnych kobiet jest zapewne dobrą wiadomością.

Potem pokazano wywiad z doktorem la Bergiem ze Szwajcarii, który otworzył pierwszą na świecie klinikę stosującą nową, rewolucyjną metodę jego imienia. Polegała ona na nakładaniu na ranę syntetycznie generowanej tkanki tłuszczowej cielęcia alpejskiego i zalewaniu blizny preparatem z osocza wielopolimerowego, co pozwalało na gojenie się rany w tempie zauważalnym gołym okiem.

Jolanta szybko wybrała numer męża:

– Kochanie, chciałbyś, abym była twoją Kassandrą Lubbock?

Przyszła Cassandra poleciała do La Berg Clinique dwa dni później, a wróciła dopiero po tygodniu, bo musiała jeszcze zrobić drobne zakupy.

– No, jak?

– Moja ty, Kassandro – powiedział od niechcienia Czwarty Mąż, szanowany adwokat broniący skompromitowanych polityków, a więc pracy miał dużo i nie zwracał uwagi na rzeczy nieistotne.

Jola zmarszczyła czoło (znowu będzie wizyta u kosmetyczki):

– Nie Cassandra, tylko Damonna, ta piosenkarka. Zmieniłam zdanie, a ty powinienesz to zauważyć, skoro wydałeś na to 150 tysięcy dolarów.

– No tak, rzeczywiście, ta piosenkarka.

By poprawić sobie samopoczucie, Jola poleciała do Szwajcarii na

kolejny zabieg.

– A teraz jak? – spytała męża po powrocie.

– Cudnie, fantastycznie. Tylko nie pytaj mnie, ale chyba ta piękność, która ma najpiękniejszy nos na świecie, wiesz ta, no... – Czwarty Mąż udawał, że szuka imienia w pamięci.

– Księżniczka Macaonaco! – krzyknęła Jola, która przez trzy następne dni czuła się przynajmniej tak wspaniale, jak księżniczka o najpiękniejszym nosie na świecie.

Szczęście się skończyło, gdy na babskim spotkaniu w fitness klubie wszystkie znajome zwracały uwagę na wydatny nos (l la Depardieu) tej nowej żony Pawelca, a jej delikatny nosek przeszedł zupełnie bez echa.

Znowu lot do Szwajcarii. Tym razem Jolanta przygotowała się lepiej. W zagranicznych pismach przeczytała, że tego sezonu będą modne nosy wydatne (ale już nie tak jak męskie) i zadarte do góry, i że żona prezydenta Rumumbii zamówiła sobie z katalogu La Berg nos o nazwie La Berg Silhouette 14.

– Rewelacja. Masz nosa! – podziwiała jej nowy nabytek znajome z kawiarni Café Ciudad, a Sylwia dodała: – Ja też chcę taki.

Pojechały we dwójkę. Sylwia po La Berg Silhouette 14, a Jola dla towarzystwa.

– No i jak? – spytała Czwartego Męża po powrocie z kliniki. – Wiesz, nowy model, La Berg Paco Rabanne.

– Jak zwykle wyjątkowy, tylko mam prośbę, żebyś się wstrzymała, bo właśnie wyszedł nowy model Orsche.

Zdenerwowało to Jolantę na tyle, że poprosiła swojego Trzeciego Męża, który wciąż ją kochał, by zafundował jej miesięczny pobyt w La Berg. Tak też się stało, a Jolanta zmieniała nosy co dwa dni, bo nie mogła się zdecydować. Za każdym razem wysyłała zdjęcia swoim koleżankom do oceny. Oceniających było zbyt dużo, ocen i rad w związku z tym też i Jolanta popadła w depresję. W końcu sam doktor la Berg powiedział jej, że nos nr 32 jest najlepszy.

Trochę podreperowana psychicznie wróciła do kraju z nadzieją, że jej czterotygodniowe wysiłki zostaną przez kogoś docenione. Czwarty Mąż oczywiście nic nie powiedział – do czasu, gdy cudownie wyprofilowany nosek o opływowych kształtach i fantastycznie odstających skrzydełkach nozdrzy nie spadł na ziemię:

– No to problem z głowy – powiedział, dodając – jak chcesz sobie posiedzieć w Orsche, to dam ci kluczyki.

Język porozumienia światowego

Profesor Jeremi Przyrobacki z Polski i profesor Philippe Delaroussexemount la Rousse von Mount z Lotafrancji poznali się na I Międzynarodowym Zjeździe Profesorów w Vodafos, poświęconym roli profesora we współczesnym zinstytucjonalizowanym, zdehumanizowanym, zminiaturyzowanym i zmiękkoresetowanym świecie.

Przyrobacki natknął się na la Rousse'a w hallu głównym centrum kongresowego, wybudowanego specjalnie na potrzeby zjazdu. Obaj poczuli, że może to być początek długiej i owocnej międzynarodowej znajomości naukowej. Był tylko jeden niewielki problem natury właściwie ludzkiej – Przyrobacki nie znał lotafrancuskiego, von Mount nie znał polskiego i ani jeden, ani drugi nie znał angielskiego.

Ale od czego są na świecie profesorowie.

Postanowili, posługując się uwspółcześnionym i twórczo uzupełnianym językiem migowym, stworzyć nowy język, by mogli nim się swobodnie posługiwać w, jak przeczuwali, intensywnej i długotrwałej wymianie poglądów naukowych.

Decyzja zapadła i już na zjeździe powstały słowa kluczowe.

– Gyna bodokalunia! – krzyknął profesor-Polak do profesora-Lotafrancuza na pożegnanie.

– Gyna bodokalunia, karnuk kilmadorni esdar! – odpowiedział Lotafrancuz energicznie, a przyglądający się tej scenie profesorowie z Chin domyślili się, że chodzi o nicki do gry Future Reverse Combat Online i zaczęli klaskać.

Profesorowie rozjechali się do domów w poczuciu, że tworzą historię.

Już dwa miesiące później spotkali się na sesję roboczą w górach Clezmeronu, gdzie mieli zająć się podstawami gramatyki i słowotwórstwa. Przez pierwsze dwa dni poświęcone swobodnemu rozruszaniu szarawych komórek było więcej niż dobrze. W trakcie procesu twórczego, moderowanego przez la Rousse'a według opatentowanej metody 4-192,5-3, powstały najczęściej używane w każdym języku słowa, czyli wulgaryzmy – tu brzmiące „regrod”, „hurcia”, „larnogha” oraz „dygil”. Dnia trzeciego doszły jednak do głosu ambicje każdego z profesorów – własne, patriotyczne i naukowe – a także walka o względy będącej do ich dyspozycji polskojęzyczno-lotafrancuskojęzycznej, wymownie jasnowłosej asystentki z uniwersytetu w Larannie.

W efekcie, po miesięcznym pobycie, ustalone zostały jedynie podstawy gramatyki i nazwa języka. Po polsku miał się on nazywać, ku czci twórców, „przyrolaruskim”. Słowotwórstwo, o które toczyły się między

dwoma wybitnymi talentami największe boje, miało być na spokojnie dyskutowane na kolejnej trzymiesięcznej sesji nad Morzem Tralmara sponsorowanej przez wiodących operatorów sieci komórkowych obu krajów. Przyrobacki i la Rousse zgodzili się, że tym razem asystentka powinna być wymownie ciemnowłosa.

Kolejne spotkanie robocze było porażką. Prace posuwały się bardzo wolno, a ciemnowłosa asystentka dodatkowo rozpraszała ich uwagę wymownie nieistniejącym stanikiem. Obaj doszli wkrótce do przekonania, że tworzenie języka nie jest czynnością łatwą, i jeśli operatorzy komórkowi nie będą mieli nic przeciwko temu, tworzenie fundamentów przyrolaruskiego zajmie im kilka, a może i kilkanaście lat.

Potem były jeszcze cztery sesje robocze i częste telekonferencje, w czasie których, po długich negocjacjach ustalono, że słowotwórstwo nowego języka będzie w 37 procentach wykorzystywać reguły języka polskiego, a w 63 – lotafrancuskiego.

Po dziewięciu latach, na uroczystej konferencji prasowej, profesorowie ogłosili swoje postępy w tworzeniu nowego języka – języka porozumienia światowego – i na tej deklaracji ich zapał się skończył.

Przyrobacki wrócił z konferencji późno, pochłonięty już w całości teorią frakcyjnej budowy cząstek antyrdrzenia komórkowego, którą to teorią zaraził go spotkany przypadkowo profesor z tej samej uczelni. Wnuczka Teorysia wybiegła przywitać się z dziadkiem:

– Pyla jagudja, dziadziusieńku!

– Pyla jagudja! A co ty jeszcze nie śpisz?

– Nie mogę sobie przypomnieć, jak jest po przyrolarusku „zgasić światło”.

– Och, serdeńko, dziadzius jeszcze tego nie wymyślił.

Teoria na chwilę zmarszczyła czoło:

– Dziadku? – powiedziała wolno.

– Oho, to będzie jedno z tych inteligentnych pytań mojej wnusi. Wyczuwam to od razu. Pytaj Teorysiu, ale dziadzio nie wie, czy będzie w stanie odpowiedzieć!

– Dziadku, powiedz... a dlaczego wy postanowiliście wymyślić ten język? Jak to się stało?

– Ha, ha, ha! Moja krew, moja dociekliwość!

– No, jak?

– A nic, dziadzius nie wiedział jak trafić do toalety. No idź spać, Teorysiu! Moja krew, moja...

Masaż inkwizycyjny

Największym szlagierem nowego sezonu zdrowotnego stał się nowatorski rodzaj masażu relaksacyjnego wykorzystujący, oczywiście w nieco mniejszym zakresie, specyficzne metody tortur stosowanych wobec średniowiecznych heretyków. Autorem tej niebywale skutecznej metody pozbywania się stresu jest Antoni Ryczłoś posiadający potwierdzony badaniami genetycznymi rodowód, według którego wywodzi się on z zacnej rodziny możnowładców okołopilickich, Ryczwołów. Ryczwołowie znani byli ze swojej głębokiej wiary, którą często zmieniali, bo byli otwarci na nowości. To oni wprowadzili na dworze królewskim tak zwane tortury przygotowawcze, mające uczulić więźniów, podejrzanych o herezję na relatywność pytań dotyczących wiary, zadawanych w czasie tortur właściwych, których i tak większość nie wytrzymała.

Wykorzystując bogate doświadczenie rodzinne, doktor Ryczłoś opracował 42-minutowy zestaw inkwizycyjny (tyle czasu wytrzymywali przeciętnie więźniowie-heretycy), w którego skład wchodziły między innymi: rozciąganie nadgarstków, podwieszanie za palce rąk, wyginanie łokci w zakresie 78 stopni, rachowanie kręgosłupa, intensywne masowanie żeber, rozciąganie całego ciała na stole typu Ryczwól Aerial, wyginanie odśrodkowe ud, wyginanie cyrkularne szyi, masaż dogłębny okolic miednicowych, młotkowanie kończyn, przeciąganie pod stołem typu Ryczwól Up-Down, policzkowanie pośladków oraz sztandarowy masaż Ryczłosia – kamienowanie stresochłonnych partii mięśniowych.

W pierwszym w Polsce gabinecie masażu inkwizycyjnego, przy ulicy Świętej, wywieszono motto: „Nawet jak nie masz stresu, to się go pozbędziesz”. Stanowiło ono kreatywną interpretację sławnej, pozostającej w duchu ówczesnych czasów, sentencji Bożydara Ryczwoła, który każdemu torturowanemu mówił: „Nawet jak nie uprawiasz herezji, to za nią zginiesz”.

Wkrótce gabinet przeżywał najazd klientów spragnionych nowych doznań. Jednym z nich był Szymon Klepacki, szef modnej dyskoteki Schron Metroseksualny oraz kilku liczących się nocnych lokali rozrywki wszechcielesnej, który w ciągu ostatnich miesięcy wypalił się psychicznie, próbując pozyskać Lolę Udo – jako piosenkarkę dla lokalu oraz jako kobietę dla siebie.

Szymon miał wizytę wyznaczoną na 15.18. Oczywiście spóźnił się (ale tylko trzy minuty), za co dostał ostrą reprimendę wzrokiem od eleganckiej recepcjonistki ubranej w strój królowienki Zabobony. Gdy wszedł do sali zabiegowej nr 3, nazywanej Komnatą Odpuszczenia,

zobaczył masażystkę w stylizowanym na łachmany włosieniczne stroju dla masażystek.

– Proszę usiąść i nic nie mówić – powiedziała oschle masażystka, którą Szymon nazwał w myślach Dobrawą. Jej gruby głos i workowaty strój nie zmyliły znawcy kobiet. I rzeczywiście, Dobrawa była piękna, smukłą i gorącą dwudziestolatka, co, jak sobie w trakcie zabiegu uzmysłowił, było dodatkową torturą.

– Proszę się położyć i nic nie mówić – powiedziała, wciąż oschle, Dobrawa. – Obejrzy pan film poglądowy, by mógł się pan zorientować, na jaki stres byli narażeni ludzie w czasach średniowiecza.

W ścianie rozsunęły się kamienne drzwiczki, a na ekranie pojawiły się sceny tortur. Komnatę Odpuszczenia wypełniły krzyki heretyków, Szymon zamknął oczy z przerażenia, a Dobrawa przystąpiła do pracy.

Najpierw przez szybkie zgniecenie nadgarstka, wyrzuciła z Klepackiego stres, związany z wątpliwościami, co do uczciwych intencji księgowej Schronu Metroseksualnego. Stres trochę jeszcze próbował walczyć o widoczność, wisząc uczepiony kamiennej ściany na lewo od stołu tortur, ale wkrótce zniknął bez śladu.

Za pomocą dogłębnego masowania żeber ponętna masażystka wyzwoliła organizm Szymona z frustracji związanej z nieosiąganiem na swoim motocyklu licznikowej prędkości maksymalnej, co podważało jego poczucie dumy. Szybкими ruchami przykregostupowymi, którym towarzyszyły jęki z głośników telewizora i strun głosowych Szymona, wydostała na zewnątrz i odrzuciła pod ścianę napięcie nerwowe wynikające z faktu atrakcyjności profesjonalnej Loli Udo. Lola Udo śpiewała i występowała wieczorami, nie wiadomo dlaczego, u głównego konkurenta Klepackiego, niejakiego Klepackiego (nie mylić, zbieżność nazwisk przypadkowa, a poza tym imię inne – Jacek). Stres o podłożu Loli Udo – piosenkarki, opuścił na stałe zmęczone już ciało Szymona, choć nie bez pewnego wysiłku ze strony inkwizytorki. Podobnie było ze smutkiem po stracie najlepszych dziewczyn z klubu Night Fusion, które pojechały robić karierę w Niemczechach w uzdrowisku Karlsbad Vary. Tiffany była naprawdę niezła i chyba go kochała. Teraz stres z nią związany wałęsał się pod ścianą, próbując znaleźć jakiś sposób na powrót do Szymona. A ten walczył z obrazami w telewizorze i rosnącym zainteresowaniem Dobrawą.

Dobrawa bardzo sprawnie przeszła do przeciągania pod stołem. Szymon nigdy wcześniej nie doznał czegoś takiego. Chciało mu się dołączyć do krzyków ludzi średniowiecza, którym akurat odrabowano palce nóg, ale się powstrzymał. A szkoda, powinien okazywać swój ból – o wiele

łatwiej byłoby wtedy Dobrawie wyciągnąć z niego stres związany z pomniejszającym się od czterech lat członkiem. Szymon, gdy zobaczył na podłodze swoje napięcie o podłożu fallicznym, nie mógł uwierzyć, że było aż tak duże.

Przyszła na najważniejszy element masażu – kamienowanie. Kamień po kamieniu z największym poświęceniem inkwizytorka z Komnaty Odpuszczenia przy ulicy Świętej, wyciągała z Szymona wszystkie sprośne i wyuzdane myśli, związane z Lolą Udo – kobietą (imię i nazwisko w dowodzie: Janina Pызata). Wkrótce w całej sali panowała duszna atmosfera erotyczno-fizjologiczna, a pojedyncze wyekstrahowane frustracje na bazie L.U. próbowały walczyć o przeżycie poza organizmem nosiciela.

– Ukamienowanie było formą wyroku śmierci stosowaną wobec tych, którzy nie zasłużyli sobie na ścięcie mieczem – mówił lektor filmu o torturach w chwili, gdy Dobrawa przystępowała do kamienowania mostka, w którym zgromadziła się bulwersująco duża liczba scen łózkowych z L.U., do których nie doszło.

Po kamienowaniu nastąpiła krótka przerwa, w czasie której Szymon uzmysłowił sobie, że życie seksualne z L.U. nie przedstawia już dla niego żadnej wartości. Czuł się wyzwolony z wszelkiego grzechu i stresu i jedyne, o czym teraz myślał, to krótki, intensywny romans fizyczny ze swoją, jakże skuteczną inkwizytorką, którą po trzydziestu dziewięciu minutach był w stanie wyobrazić sobie całkowicie naga.

Niestety, i ten stres, wszak dopiero rodzący się, zauważyła Dobrawa i poprzez wygięcie cyrkularne szyi wyrzuciła go z Szymona w tempie zaiste nadludzkim.

Zapikał czasomierz ukryty w ekspozycji przypominającym krąg do rachowania palców nóg. Sesja dobiegła szczęśliwego końca, a głos z telewizora powiedział:

– W czasie kręcenia filmu nie ucierpiał żaden aktor, a jedynie czterech kaskaderów uległo wypadkom o różnym stopniu powikłania.

Szymon planował wstąpić po zabiegu do swojego klubu, trochę się odprężyć przy drinku i dziewczynach. Teraz nie miał na to najmniejszej ochoty.

Pomyślał tylko, że mogły wstąpić, i to na bardzo długo, ale gdzieś zupełnie indziej.

Kałuża Skin Care

Doktor Edward Bylina zrobił doktorat z algebry lojalnościowej z dużym trudem i równie dużą pomocą brata, doktora Byliny, który dwa lata wcześniej zrobił doktorat z geometrii lojalnościowej.

Jak to zwykle bywa z mniej wyszczekanymi werbalnie pracownikami naukowymi, doktor Edward nie zagrzał miejsca na uczelni, czyli posługując się wyrażeniem bliższym życia i wyszczekania werbalnego – wyleciał na zbity pysk.

Gdy tak szedł po raz ostatni po placu głównym Uniwersytetu Piastowskiego, w zamyśleniu wynikającym z konsatacji o niesprawiedliwości w traktowaniu ludzi w zależności od stopnia wyszczekania według skali Valesy, wszedł w kałużę, bo deszcz padał dwa tygodnie wcześniej, a kanalizacja uniwersytecka miała wydolność z 1459 roku.

Stojąc tak w rozległej, lecz niezbyt głębokiej kałuży, doktor Edward zamknął się w swoich synapsycznych wnętrzościach, a na studentów przechodzących obok i sarkastycznie śmiejących się z byłego belfra nawet nie spojrzął spod swojego powiększającego się przygnębienia. Nie zwrócił też uwagi na małego pieska przynależnego emocjonalnie i prawnie do eleganckiej pani profesor z Wydziału Polonizacji Europy Zachodniozaściankowej czytającej gazetę na pobliskiej ławce. Piesek wzbogacił kałużę uniwersytecką kilkudziesięcioma kropami jakże cennego płynu zmagazynowanego w małym, rasowym pęcherzu moczowym.

– Bylina chce zapuścić korzenie! Za późno, byliny jednoroczna! – krzyknął jakiś student z okna i nawet nie był to student, ale asystent Pisak w katedrze algebry lojalnościowej, który był wyszczekany, więc zajął biurko doktora Edwarda, bo mu pasował kolor fotela (czerwień nieodgadniona).

Doktor nie miał mu za złe brzydkiego zachowania przez ostatnie kilka miesięcy tak bardzo, jak miał za złe brzydkie zachowanie pani adiunkt Czesławy Ceracz.

– Bylinę jednoroczną sprzedam okazji! Bylinę sprzedam! – dało się słyszeć z okna katedry, ale doktora wytrącił z otepienia dopiero skrzekliwy śmiech Ceraczowej, której szczerze unikał, a jeszcze szczerzej życzył jej potknięcia na teorii lojalności algebraicznej Himko-Rybsona.

Ceraczowa była mniej wyszczekana niż Pisak, ale umiała wykorzystać skrycie tego ostatniego, któremu wydawało się, że jej się podoba, co nie było prawdą, choć kobieta nie należała do najpiękniejszych, a Pisak też. Ceraczopisakowa fala przetaczała się w ciągu ostatnich miesięcy wielokrotnie przez przepastne wnętrza wydziału, co spowodowało całkowite

odwrócenie się od profesora nawet osób, które nie powinny pokazywać światu swoich okazałych wyslizganych spodni, wzór Z.O. Odra Wodzisław 1951. Wśród osób tyłem się poruszających znajdował się niestety prodziekan, któremu też się wydawało, że podoba się Ceraczowej. Wszystko to doprowadziło do konfrontacji na temat teorii Himko-Rybsona, której doktor Edward nie przeszedł pozytywnie, chociaż ani panu Himko, ani panu Rybsonowi nie wydawało się, że podobają się Ceraczowej, bo obaj nie żyli.

W ten sposób świeżo oskubany doktor i brat światowej sławy doktora Byliny wylądował w kałuży, a studenci siedzący parę suchych kroków dalej w napięciu filmowali scenę komórkamera, by umieścić później materiał na stronie funnyvideosfrompoland.com.

– Mam go! Git będzie streamingu! – krzyknął młody student, chyba psychologii, bo miał koszulkę z napisem: „Chcę do mamy”.

W Edwardzie budził się zły sierżant. Ostatni raz zły sierżant obudził się w nim w 1976, gdy ojciec został przyłapany na gorącym uczynku z sierżantową z komendy milicji w Gizajnie, gdzie mieszkali. Sierżant przyszedł i pobił ojca do krwi ostatniej, a mały pobiegł za milicjantem i z całej siły kopnął go w łydkę, czego tamten nawet nie zauważył. Ale teraz było inaczej:

– Samotny, odtracony, w kałuży, do której nasikał pies kobiety, która mi się podoba, naigrywany i nagrywany, z mokrymi butami z hipermarketu... i jeszcze SMS przychodzi, że co? „Kup Loli coś na krosty” – brzmiał komunikat, a doktor Edward, w poczuciu bezsilności przeradzającej się w odwet sierżanta wymyślił coś, co zmieniło bieg przemysłu kosmetycznego na świecie.

– Ja wam pokaaaaaaazę! – krzyczał w duszy doktor nieokiełznanym krzykiem przyszęłego zwycięzcy, a jego emocje znalazły fizyczne ujście w postaci powiększenia się lewej źrenicy o 6 procent i cichutkim podnosowym „aaże”.

Lola, córka Edwarda, była nastoletnią pryszczatką i miała na tym punkcie kompleks. Doktor znosił jej do domu różne medykamenty i nic nie działało. Teraz dał córce apteczny flakonik z brązowym płynem:

– Tonik z wyciągiem z kałuży miejskiej – powiedział doktor, a Lola pobiegła do toalety sprawdzić skuteczność 137. leku na krosty, jaki wybróbowowała dotąd w całym swoim pryszczatym życiu.

– Dzięki tatko. Chyba podziałało – krzyknęła miesiąc później Lola i pobiegła na dyskotekę, a ojciec miał nieodparte wrażenie, że na twarzy córki było mniej więcej o trzy pryszczki mniej.

Wyobraził sobie, jak preparat ten wciera sobie w twarz Czesława Ceracz

i rozmarzył się na dobre.

Trzy miesiące później do doktora przybiegały regularnie koleżanki Loli z prośbą o udostępnienie cudownego kosmetyku, aż nie nadażał z produkcją, a zwłaszcza, jak zaczęło się upalne lato.

Pół roku później pojawił się w mieszkaniu Bylinów kolega doktora z przedszkola, który był specjalistą w programach lojalnościowych dla sieci domów uciech cielesnych.

– Ty dajesz know-how, ja daję markieting – powiedział Olek, i był to początek długiego monologu, bo człowiek był wyszczekany, a jak skończył to powiedział:

– No i co? Klawo mamy na kosmetyk?

– No – odpowiedział doktor, bo miał dość.

Trzy miesiące później firma Dr Bylina Cosmetics wprowadziła do sieci kiosków kosmetyczno-prasowych serię Kałuża New Line. Kosmetyki zajęły pierwsze miejsce w prestiżowym konkursie magazynu Styl i Szyk, a także były rekomendowane przez znaną piosenkarkę Wandę Dolniak, co spowodowało wzrost ceny jednostkowej o 320 procent. Po zmianie nazwy na Kałuża Skin Care i wprowadzeniu serii do sieci drogerii Zedh-wora stały się one kosmetykami ekskluzywnymi i wyprzedziły inne rynkowe nowości – na bazie migdałków przepiórki, wyciągu z brukwi pastewnej i witaminy Double-C. Zaczęła je stosować pani profesor z Wydziału Polonizacji Europy Zachodniozaściankowej, ale Ceraczowa nie miała czasu, bo była wyszczekiwana przez Pisaka z katedry, więc chciała wzbudzać litość i o siebie nie dbała.

I wtedy, gdy wszystko było piękne (no może oprócz samopoczucia Loli, której wróciły krosty) przyszedł Olek i powiedział:

– Ty nic nie mów, tylko ja – i zaczął monolog, który trwał do dziewiątej rano dnia następnego.

– Rozumiesz?

– Tak – powiedział doktor Edward, bo miał dość.

W ten sposób Olek sprzedał firmę, markę i wszystkie prawa jednemu takiemu koncernowi kosmetycznemu i zarobił na tym wielkie pieniądze, a doktorowi dał co łaska, czyli niedużo. Koncern zmienił nazwę na Dr Bylin's Kalooza Skin Care i zarobił na tym jeszcze większe pieniądze, zwłaszcza w USA, gdzie nie ma kałuż, bo jest dobry system kanalizacyjny.

A doktor Edward Bylina? Przez cztery i pół miesiąca był bardziej sławny niż jego brat, a teraz stał w gnojówce, do której wpędził go Olek chcący odebrać pieniądze ze sprzedaży, bo uważał, że dał doktorowi o jedno zero za dużo (20 000 tysięcy zamiast 2 000). Lola uciekła z chłopakiem do

Irlandii, a żona się obraziła i nie zrobiła klusek na parze.
I doktor Bylina stał i budził się w nim zły sierżant i wtedy zapikał SMS.

Nienormales

- On jest normalnie nienormalny! – powiedział Clarisse (imię w dowodzie: Paweł), przegryzając niezidentyfikowany przekąskowy jednoelementowy owoc morza.
- Kto taki? – spytał Jonofi (imię w dowodzie: Jan).
- Ten Robert. Dacie wiarę, że on w życiu nie ciągnął amnesy?
- No nie. Gościu nieźle tracony. Skąd ty go znasz? – zainteresował się Onardo (imię w dowodzie: Leon).
- Pracujemy na nieszczęście razem, on na akcjach, a ja na funduszach. Gościu się przyznał, że w szkółce próbował kryśkę. I tyle.
- Z kim ty się zadajesz, Clarisette? – zachnął się Onardo.
- Wyrazy współczucia – odezwał się Jonofi i pociągnął dla wprawy trochę amnesy z deski serowo-narkotykowej.
- A Kudupi (imię w dowodzie: Kudupi) siedział, palił plimone i nic nie mówił. On już taki był – kulminację chciał zachować dla siebie.
- Zamówili po drinku Just Another Reason to Get Hard Drugs (whisky z lodem). Wieczór w restauracji Stop Deviation zapowiadał się gorąco.
- Ale wiecie, ten to jeszcze nic. Ostatnio poznałem faceta na imprezce u Santiagolasa – powiedział Jonofi.
- Santiagolasa? Co u niego? – spytali Clarisse i Onardo.
- Normalnie, spalił brykę i daje chłysta z Lorą na Drojedach. Ale nie o nim, tylko o takim jednym katastrańcu Jacku. Pozuje na normalesa, prztycior jeden.
- Jak? – spytał Kudupi i wszyscy zwrócili na to uwagę.
- Kudu, co się stało, że się odezwałeś? – zagadnął Clarissesetto.
- Chwilowy brak zaczepienia myśli – syknął cicho Kudupi, pociągnął chryninę i popił drinkiem. – No jak?
- Jak? No więc ten Jacek, on chodzi i mówi, że ma tylko jedną kobietę.
- No nie!
- Daruj.
- Ale tak, mówię wam, i jeszcze rozpowiada, kto jest tą kobietą...
- No tego to słuchał nie będę. Nie kończ... – zachnął się Onardo, bo lubił od czasu do czasu się zachnąć.
- Ale wiecie!
- Wiemy, wiemy. Nie psuj nam wieczoru, Jonofi. Dzieci już mają? – spytał podchwytliwie Kudupi.
- O nie, nie bawię się! Miałem nie kończyć, a ty tak naprawdę zakończyłeś, Kudu, nie bawię się, nie tak miało być, twoje zawsze musi być na fallusie!

- Tak czy inaczej ohydne. Jak tacy ludzie mają odwagę chodzić po ulicach? Nie wiem.
 - Tacy to kukuś – zaczął Kudupi i już wszyscy wiedzieli, że teraz będzie bomba.
 - Tylko uważaj z kalibrem odchyłu, bo przed chwilą zjadłem tęponosa w gargulasach – zaśmiał się Clarissesettessimo. Wszyscy lubili opowieści Kudupiego. Zawsze były najbardziej soczyste i łamały tabu.
 - No i co, no i co, Kudu?! Mów, jak zacząłeś! – niecierpliwił się Jonofi.
 - Dziomas nazywa się Michał i jest takim świrem, jakiego nigdy w życiu nie spotkałem – Kudu cedził słowa powoli i namaszczaniem, jak „szcz” w słowie „namaszczaniem”. Punkt kulminacyjny zbliżał się nieuchronnie i grupa siedząca przy stoliku obok też zamieniła się w słuch w oczekiwaniu na gorszą opowieść patologiczną.
 - ? – patrzył Jonofi.
 - ?? – patrzył Clarissesettesettisimoprimo.
 - ?! – próbował wymusić szybką odpowiedź Onardo, wspierany wzrokiem koszącym z sąsiedniego stolika.
 - Wiecie, o której ten patolo jada śniadania? – zaczął budować napięcie Kudupi, ciągnąc ostatnią dawkę tatymaminy. – O ósmej rano!
- Dwa stoliki nie mogły się pozbierać z wrażenia przez równocześnie trzech średnich desek serowo-narkotykowych. Dopiero orkiestra tresowanych pracowników ogrodu zoologicznego rozładowała atmosferę pełną niesmaku, wynikającego z patologii życia w dużym mieście.

Wszystkobawka

Przed Gwiazdką w sklepach z zabawkami pojawił się nowy produkt. Była to lalka, a właściwie robot z wymiennymi segmentami, trochę na zasadzie klocków kolego, ale większych, bardziej ergonomicznych i organopodobnych, co stwarzało większe szanse kreatywnej zabawy. Na głowie była blond czupryna pod hełmofonem 1 la Dark Puder i czułkami pszczołki Papaji z opcją na cztery antenki Blebletubisiów. Skrzydełka, w pełni rozwijalne do dwóch armat laseroplazmatycznych z serii Chronicle, miały wymienne kolorowe moduły, które dawały możliwości gry podobne do MasterBlind, a kratka na pulowerze-kolczudze pozwalała na swobodne wyzwanie intelektualne charakterystyczne dla kostki Kubika.

Modułowa budowa dawała praktycznie nieograniczoną możliwość kombinacji w tworzeniu postaci, a kilka proponowanych na odwrocie dawało przedsmak tej wspaniałej przygody osobowościowej: Rambie 3, Kubuś Puchaman, Kaczor Potter czy Atomic Struś.

Wymienne buty (w zestawie było 7 par, a można było dokupić jeszcze 23) to kolejne pole do popisu dla młodych talentów. Raz dawały możliwości podobne do Ninja Hurdles, raz kota w butach, a raz czołgu M1 Abrams. Dodatkowo, dzięki minisilniczkom, zabawka mogła pokonywać przeszkody – w zależności od butów – pełzając, skacząc, idąc bokiem, piruetując, padnij-powstając. Wbudowane organy wewnętrzne dawały możliwość rozwijania umiejętności opiekuńczych (czynności: siusianie, wchłanianie wewnętrzne, dyspepsja, ból brzucha). Minichip o pamięci 2 GB w zupełności wystarczał, by nauczyć zabawkę podstaw jednego z 4 języków, w tym migowego, a schowany pod lewą pachą przycisk resetu głównego pozwalał na wielokrotne tworzenie od podstaw komunikacji werbalnej z zabawką. By zabawa była jeszcze ciekawsza i mniej przewidywalna, pod lewym nadgarstkiem wbudowano panel operacyjny pozwalający na ustawianie poziomów: agresywności, dzielności, infantylności, posłuszeństwa, inteligencji oraz potrzeby przebywania z dzieckiem, u którego wykryto ADHD.

Pan Emil Czyć robił akurat z synkiem zakupy w centrum handlowym.

- Bartuś, zobacz! EveryToy.
- E, nie dla mnie.
- E?

Mr Kopipejst

Romek Kociołek, zwany przez siebie Gonzem, a przez innych Ciołkiem, chciał zrobić karierę szybko, zwinnie i z wysiłkiem porównywalnym do ziewnięcia.

Nad metodą osiągnięcia życiowego celu myślał długo, czyli do czasu, gdy poznał podstawy pracy z programem do edycji tekstów, a było to w jego pierwszej firmie, handlującej prawami do składowania torebek plastikowych.

Jednej rzeczy Gozno zaprzeczyłby zdecydowanie – że Romek Kociołek był do tyłu z komputerem. Swoje pierwsze pismo (dwuzdaniowe wezwanie do zapłaty), pisał z pomocą spontanicznie przez niego zwołanego „zespołu specjalnego” w składzie Łucja i Maurycy, przez całe półtora tygodnia. Ostatniego dnia tego zbiorowego wysiłku intelektualnego, w piątek, dwanaście sekund po tym, jak Łucja przekopiowała treść wezwania z pisma, które wcześniej napisała sama, do świadomości Gonza dotarła prosta wiadomość rozszyfrowywalna zwykłym (tak, zwykłym, a nie odwróconym) kodem zeropierwiastkowym: copy paste.

– O widzisz Cio... Gonzo, tu zaznaczasz i tym skrótem klawiszy robisz „copy”, a tu zaznaczasz i robisz „paste”, o, tym skrótem – powiedziała Łucja i była bardzo dumna z siebie oraz ze swojego laptopa.

– Tylko że znowu lapek ci się zawiesił – kiwnął palcem zza swojego biurka Maurycy, który był bardziej leniwy niż Gonzo, ale bardziej bystry niż Łucja.

– To nie przez kopipejsta, tylko przez ten nowy system. Wgrali mi Multiviste, wariant dla pracowników firm handlujących prawami do składowania odpadów konsumpcyjnych, wersja Ultimate w godzinach pracy. No i szwankuje mi wszystko zaraz po starcie, a nawet bym powiedziała, że przed, tak mi się wydaje.

– Ja ci wierzę bardzo Łucja, a jak lapek ci wstanie, to pokażesz mi jeszcze raz tego kopipejsta, bo Multivista to mnie nie interesuje. Czymże jest jakiś pękaty system w porównaniu z pięknym przeprostem słońca gdzieś nad Kucharą, w porównaniu ze złocistością cebulki smażonej falami kse-fi, w porównaniu z liczbą przegródek na błony kredytowe w portfelu człowieka majątnego, w porównaniu z cudownym zapachem bułki typu briessante maczanej w zdrowym mleku syntetycznie wzbogacanym substancją wspomagającą wydzielanie hormonu szczęścia, tego sprzed dwóch lat, nie sprzed trzech – mówił Gonzo tonem charakterystycznym dla człowieka, który znalazł rozwiązanie życiowego problemu. Podrapał się za uchem, co bardzo lubił robić w chwilach, gdy

jego receptory kariery umiejscowione pod lewym płucem dawały znać, że jest dobrze. Mrugnął porozumiewawczo do swojego „ja” za cztery lata. Ziewnął.

Ziewał jedynie w dwóch przypadkach: dla fasonu (rzadko) oraz dla zatarcia śladów swojego sukcesem napędzanego samozadowolenia (coraz częściej – po tym, jak zaczął stosować w swoim życiu zawodowym dwufazową kombinację klawiszy).

Pierwszego, przełomowego w jego karierze kopipejsta zrobił dla wypełnienia treścią dokumentu o nazwie Gonzazyciorys.docxx. Przekopował tekst z portalu ludzi kariery – z życiorysu Ryszarda Ciemięckiego, laureata konkursu „Menedżer minuty” (drugiego w kolejności z godziny 23:28, z branży telekomunikacyjnej).

Jedną rzecz Gonzo potwierdziłby bezdyskusyjnie – że Romek Kociołek był do przodu z wrażeniem, jakie robił na innych (no może z wyjątkiem jednego „ale” w postaci zbytniego zainteresowania swoją fryzurą na kompanię reprezentacyjną grup rekonstrukcji historycznych).

– Widzę, panie Ryszardzie... – zaczął prezes firmy Sport Resort na spotkaniu w sprawie pracy.

– „Romanie” – przerwał Gonzo. – Komputer się pomylił, wie pan, Multivista, wszystko szwankuje.

– ... Romanie, że ma pan olbrzymie doświadczenie w branży telekomunikacyjnej. Dlaczego chciałby pan rozpocząć pracę akurat w naszym koncernie sportowo-hotelowym?

– A ja widziałbym to pytanie inaczej – rozpoczął Gonzo, a ponieważ nie miał w czym oglądać swojej fryzury (laptop prezesa był matowy), to dostał tę pracę, bo skupił się na robieniu wrażenia. Został kierownikiem działu z dosyć mglistymi kompetencjami, co było mu tylko na rękę. Szybko zorientował się jednak, że od czasu do czasu trzeba napisać jakąś prezentację i niestety, w przypadku tych najważniejszych zleceń, osobiście. Ograniczył się do umiejętnego kopipejsta z prezentacji swojego poprzednika, Maćka Janika, którego na wszelki wypadek krytykował na każdym kroku, co akurat było łatwe, bo poprzednik kompetencje miał jasno sprecyzowane.

Gdy firma Sport Resort wygrała kontrakt na budowę centrum hotelowego na 1200 osób wokół Olimpijskiej Areny Sportowej (budowanej na zapas, żeby na następne mistrzostwa jednak zdążyć), Gonzo zaczął się w firmie trochę rozpychać, bo poczuł się pewniej. A jak zrobił jeszcze pięć do siedmiu kopipejstów, z czego wynikły dwa mniejsze zlecenia, to

się poczuł zanadto. Prezesowi było to nie na rękę, a w czasie rozmowy na temat podwyżki Gonzo przeglądał się w jego nowym metalicznym laptopie, zamiast patrzeć mu prosto w oko (drugie miał na stałe podłączone do kamery przemysłowej na hali numer 6).

W efekcie Mister Kopipejst, jak zaczęli go nazywać podwładni, dostał wypowiedzenie, ale dzień wcześniej zrobił kopipejsta na wiceprezesa w koncernie produkującym nanokomponenty do gadżetów elektronicznych dla leworęcznych.

Wiceprezes Kenzo („Gonzo” było dobre, ale zbyt zdecydowane, zbyt surowe, a nie o taki wizerunek chodziło) szybko ustawił się w nowej firmie, zatrudniając Maurycego, który pisał za niego wszystkie ważniejsze dokumenty i te mniej ważne też, do listy zakupów w sklepie z biżuterią modyfikowaną podpróżniowo włącznie. Kenzo robił kopipejsty, chodził na zebrania i zbierał pochwały i tak przez trzy kolejne firmy, aż został prezesem na region panazjatycki firmy zaawansowanych technologii ekoniologicznych.

Gdy mrugnął do swojego „ja” sprzed czterech lat, miał powody do zadowolenia, które szybko zamaskował jednym nieznacznym ziewnięciem. Mógłby to być wymarzony koniec historii sukcesu skromnego chłopaka, nazywającego siebie Bossem, gdyby nie jeden niewielki pomyłkowy kopipejst, który był ubocznym efektem rutyny, mającej prawo uwidocznic się po czterech latach intensywnej i znaczonej wielkimi osiągnięciami pracy u podstaw. Romek Kociołek zamiast listy nowych kontrahentów za ostatni okres rozliczeniowy wkleił do raportu dla rady nadzorczej listę materiałów budowlanych i wykończeniowych do swojego domu, kupionych na firmową kartę kredytową.

Spadochron no limit

Dyrektor lotniska międzynarodowego wisiał na linkach i sprawdzał ich kolor w słońcu łaskawie przyświecającym mu spomiędzy groźnie wyglądających chmur burzowych. Linki były podwieszane na karabińczykach do haków w suficie, który zgodnie z koncepcją lotniska („sky is no limit”) znajdował się na wysokości przekraczającej granice wyobraźni wewnątrzprzestrzennej budynków użyteczności publicznej. Dzięki temu gabinet dyrektorski, który nie należał do małych, zgodnie z drugą koncepcją lotniska („space is no limit”) wydawał się być olbrzymim penthousem o powierzchni co najmniej trzystu metrów kwadratowych. W rzeczywistości było ich dwieście pięćdziesiąt i pan dyrektor z wysokości zadanej przez długość spadochronowych linek wyraźnie nad tym ubolewał:

– A ja mówiłem, żeby przejąć połowę stołówki, to mnie nie słuchali, a teraz proszę, ja muszę się gnieździć.

Gnieździł się z trzema panami od spadochronu i dwoma panami od materiałów ekskluzywnych, a dokładniej – oni gnieździli się na małej dwuosobowej sofie. Gnieździli się od dwóch godzin, bo dyrektor znany był z pedantyczności i teraz każdą swoją uwagę potwierdzał tę krążącą o nim po płycie lotniska legendę.

Sprawa była wielkiej wagi, przynajmniej wagi spadochronu reprezentacyjnego. Jeżeli nawet spadochrony tego typu do tej pory nie istniały, to właśnie byliśmy świadkami powstawania pierwszego i wszystko rozbijało się o kolor tych nieszczęsnych linek.

Jedne linki były za twarde, ale miały dobry kolor, błękit koszulowy Dark Day on Wall Street. Mogły niestety uszkodzić nienagannie dobrany materiał marynarki (tak, pan dyrektor wisiał w marynarce, skoro chciał wszystko dobrać pod kolor). Z kolei linki bardziej miękkie były wymarzone dla snobów pokroju dyrektora sparaliżowanego lotniska międzynarodowego. Były wykonane w rewolucyjnej technologii SkySafe, czegokolwiek by ona nie oznaczała, ale posiadały jedną wadę formalną – miały kolory dobre dla podrastających adeptów skoków z wież spadochronowych, a dyrektor zaliczył już jeden prawdziwy skok, co prawda razem z ochroniarzem, z tym że ochroniarz, jak zwykle, się nie liczy.

– Co wy mi tu dajecie: różowy, jaskrawy zielony, jaskrawy pomarańczowy, jaskrawy turkusowy. Nie macie czegoś bardziej pasującego dla poważnych facetów takich jak ja?

– Panie dyrektorze – przerwał mu głos sekretarki, który rozległ się

pokornie z interkomu. – Panie, dyrektorze, przedstawiciele strajkujących poinformowali, że zablokowano terminal odlotów.

– Ja mam spotkanie, powiedz im – odparł dyrektor lekko machając nogami ze zdenerwowania. – No panowie, ja zaczynam się denerwować tymi linkami, a został jeszcze materiał na czasę spadochronu i materiał ochronny. Po to was tutaj sprowadziłem, żebyście przygotowali mi najlepszy pod słońcem spadochron reprezentacyjny, skoro ja mam w nim mieć sesję do Aircraft Industry. Fotograf przylatuje w piątek i do tego czasu chcę mieć wszystko zapięte na ostatni guzik od Gordoniego. I żeby działało, nawet jakbym ja w tym spadochronie miał naprawdę wyskoczyć ze swojej błękitnej awionetki.

– Proponuję wykonanie linek na zamówienie. Miękkie SkySafe w kolorze błękitu koszulowego.

– Tego ja oczekiwałem. Dobrze. teraz czasa. Czy ktoś mnie może odzepić? Jak ja mam sprawdzić czasę, skoro wiszę na linkach. Panowie, więcej polotu. Ja nie zatrudniłem was po to, żebyście spali u mnie na sofie za dwadzieścia tysięcy.

Pięciu panów zerwało się do złapania pana dyrektora. Postawili go na drabinie, gdzie spędził na oglądaniu materiału do czaszy kolejne dwie godziny. I tu nie było łatwo. Nie ten kolor, nie ten „tekstur”, nie to odbicie światła.

– P... panie dyrektorze, strajkujący zablokowali przyloty. Na hali głównej koczuje jakieś trzy tysiące ludzi i dochodzi do aktów p... przemocy – wydukała z siebie sekretarka, a jej głos, rozlegający się z sześciu głośników, brzmiał jak donośna panika.

– Ja jestem zajęty. To jak panowie, macie inne próbki, bo to co zaproponowaliście w spadochronie próbnym jest, z przykrością stwierdzam, dobre co najwyżej dla słabo kumającego dyrektora lotniska polowego w Dupimiu. Na moim lotnisku wyznajemy zasadę „imagination is no limit”. Ja oczekuję propozycji, ja.

– Próbki są, oczywiście że są, panie dyrektorze, ale jeśli chce pan zająć się strajkującymi, jesteśmy w stanie poczekać. Jak rozumiem, jest to nieco ważniejsza kwestia, niż czasa.

– Myśli pan? – tu nastąpiła zaduma na siódmym szczeblu drabiny tytanowej.

– Panie dyrektorze, przepraszam – odezwał się znowu przestraszony kwadrofonicznie głos sekretarki.

– Tak, tak, proszę do mnie mówić! – krzyknął dyrektor.

– Panie dyrektorze, przyszedł pan van Hookjes. Kazał przekazać, że przyniósł propozycje profesjonalnych kasków spadochronowych z

systemem poduszek powietrznych.

– A tak, proszę prosić, koniecznie. Panowie, zróbcie coś. Ja nie mogę tu stać na drabinie. Ja kaski muszę oglądać.

Przydługa śpiączka

W środę wieczorem, na siódmym odcinku Morderców z komórki lokatorskiej, przystojny pacjent z sali wczesnej reanimacji zapadł w śpiączkę, czyli nie dało się go wybudzić po operacji zwykłymi metodami oraz dwiema bardziej niezwykłymi też. Siostra Janina chciała wezwać rodzinę, ale komórka leżąca w szafce przy Śpiącym była wyłączona i nikt nie znał kodu. Pacjent spał słodko i nikt by nie przypuszczał, że to nie jest zwykły sen o podłożu erotycznym, ale niebezpieczna śpiączka, która przeciągnie się ponad miarę.

– Pacjent prawie na pewno wybudzi się... – zaczął doktor Kaliszewski na porannym obchodzie trzy dni później – ...w terminie od trzech dni do trzech lat.

Wszyscy syknęli z empatycznie przeżywanego bólu.

Ordynator spojrział na młodego doktora i powiedział srogo:

– No pilnujcie go, żeby nie przeżył szoku, jak się wybudzi.

– A czy aby na pewno się wybudzi? – zadał zaczepne pytanie pacjent z łóżka pod oknem, tonem celowo niechętnym służbie zdrowia, bo nie potrafiła go wyleczyć od trzech miesięcy ze zwykłej grypy la Boiusseta.

Przystojny pacjent, a cały oddział wiedział już, że miał na imię Mieczysław, spał w najlepsze coraz dłużej, a czas działał na jego niekorzyść i wszyscy mieli tego świadomość. Bardzo człowiekowi współczuli. Rozmawiali o tym w domach i między sobą na dyżurach. Takie czasy, że ten, co spał, miał najgorzej. Zastanawiali się, jak się zachowa, gdy wróci między niewyspanych.

– Może tego nie przeżyć – mówił Pacjent spod Okna, który znał trochę Śpiącego, bo leżał z nim na sali od wiadomych trzech miesięcy. – Nie układało mu się w życiu, dziewczyna go rzuciła, z pracy go wyrzucili, kartę mu zablokowali i z mieszkania eksmitowali. A tu jeszcze go wzięli i w śpiączkę wpakowali.

– Kto? – spytał zwykle milczący Pacjent spod Specjalistycznego Sprzętu do Podtrzymywania Funkcji Życiowych.

Śpiący obudził się na którymś z kolejnych odcinków Morderców.

– Mordercy? – powiedział rozespanym słodkim głosem, za który wszystkie kobiety w Szpitalu Chorób Nowych oddałyby komórki macierzyste. Pierwsza przybiegła siostra Janina. Z biciem serca, uśmiechając się, przyłożyła do lewej ręki kolejną kroplówkę samoprzylepną. Nie umiała spojrzeć wprost w wielkie czarne oczy Mieczysława.

– Siostra wymłodniała jakby od wczoraj? – powiedział Nieśpiący.

– A tak, wie pan, miałam taką operacyjkę plastyczną na czoło, żeby

marszczyło się w lewo. Taka moda w tym sezonie, co poradzę.

– Ale do twarzy pani, przepięknie pani wygląda. I to od wczoraj? – zdziwił się szczerze Mieczysław. Rozejrzał się dookoła i spostrzegł, że pacjenci na innych łózkach odwracali wzrok.

– No, i jeszcze korekta śladu wewnątrzpoliczkowego, ale to już czysta kosmetyka – dodała siostra Janina, pragnąc jak najdłużej mówić o sobie lub inaczej – nie mówić o Tym.

– Panie Łukaszu – rzucił Mieczysław w stronę okna. – Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

– Ja nic nie wiem, panie Mieciu, ja tu tylko grypę lecze, ja się nie znam, niech inni się wypowiadają, ja leżę, o widzi pan, i telewizję sobie ładnie oglądam – odburknął pod nosem Pacjent spod Okna.

– A który dziś? – ciągnął coraz bardziej podejrzliwie Nieśpiący.

Sytuację uratował młody lekarz Kaliszewski. Wpadł do sali cały w skowronkach, jakie zwykle towarzyszyły mu, gdy wpadał do sali w skowronkach. Teraz skowronki były trochę spięte i dało się to wyczuć.

– Witam pana Mieczysława! No jak się czujemy? Chyba dobrze, sen to zdrowie, jak mawia stara maksyma, co z tego, że zabroniona! Ha! Widzę, że cały w skowronkach!

– Jak mam się czuć, no chyba dobrze, dziękuję za dobre słowa. Ale... przepraszam za to wulgarne spostrzeżenie, ale wydawało mi się, że jest pan brunetem, a nie łysym...

– Cóż, panie Mieczysławie, czas robi swoje. Ja niestety jestem ofiarą diety panenergetycznej.

– Nie słyszałem...

– Całkowita nowość. Cóż, jestem tym jednym przypadkiem na sto, który cierpi na skutki uboczne. Cieszę się, że to nie karłowacenie palców, jak się mojemu znajomemu ordynatorowi przytrafiło. No cóż, panie Mieczysławie, chciałbym jednak porozmawiać o czymś jeszcze...

– Widzę, że chciałby pan, i chyba wiem, o co chodzi. Spałem dłużej niż powinienem.

Siostra Janina cicho zapłakała, niewidoczna łza popłynęła skorygowanym śladem wewnątrzpoliczkowym, a salowa przechodząca korytarzem znieruchomiła z basenem próżniowym w ręce.

– No tak jakby – odparł łysy doktor Kaliszewski.

Nieśpiący wyciągnął komórkę z szafki i wprowadził PIN.

– Raczej się nie uda. Trzeba było wymienić numery telefoniczne na siedemnastocyfrowe i przy okazji połączyły się dwie firmy telefoniczne i wszyscy dostali nowe czteroznakowe kody, z czego dwa znaki muszą być literami od „G” do „R”, wprowadzanymi trybem AZ-Max.

– Aha – powiedział Mieczysław cicho, a salowa dałaby się oddalić na oddział chorób odptasznych za to, że widziała smutek w oczach czarnych Nieśpiącego. – A czy ktoś się może o mnie dopytywał, maile przysyłał, kontakt zostawiał?

– Niestety nie wiemy tego. Jakiś czas temu wymieniliśmy witrynę internetowo-telefoniczną, zgodnie z wymogami WebTel 4.0.5, no a nikt przy zdrowych zmysłach nie wraca do przedpotopowego Web 3.0.

– Aha – powiedział Mieczysław cicho, a Janina ścisnęła mu rękę, pogłaskała ją, i nie wiedziała nawet, co zrobiła, bo potrzebowała kontaktu z tym biednym człowiekiem.

– Muszę niestety powiedzieć panu jeszcze o koniecznej wymianie dokumentów tożsamości, której pan w terminie nie dokonał. Dotyczyła ona unifikacji tożsamości realnej i wirtualnej, tak, by można było płacić podatki i tu, i tu. I obawiam się, że będzie pan musiał płacić karne odsetki. Pana karty też raczej nie działają, bo zmienił się rozmiar czytników. I jeśli pan miał samochód, to już pan nie ma samochodu, bo teraz paliwem jest energia koła energetycznego – mówił, rozpędzając się łysy Klimaszewski. – A niech mi tam. Wyrzucę to z siebie do końca. I nie ma już bułek pszennych, bo zostały zabronione, i ta gazeta, która leży u pana na szafce, już nie jest wydawana i inne papierowe też nie, teraz tylko na ekranie prasa. I skończyły się raz na zawsze dobre czasy kawy pitnej, bo jest synflex cieczopodobny o smaku kawowym. I nie ma już formatu DVD tylko VDV, i nie obejrzę już mojego kochanego Dawno temu na Ziemi.

Klimaszewski zapłakał i pacjenci też, a ordynator przyszedł i zorientował się, w czym rzecz, i tylko machnął przykrótką dłonią.

– Czyli obudziłem się w zupełnie innym świecie, chcecie zasugerować? – powiedział Mieczysław. Siostra Janina zaszlochała na dobre, a z korytarza zaczął dochodzić otwarty niepowstrzymany płacz salowej i kilku pielęgniarek.

W tym momencie z telewizora męski głos powiedział:

– Obejrzel państwo dwudziesty siódmy odcinek serialu Mordercy z komórki lokatorskiej.

– Dwadzieścia tygodni? – Mieczysław nie mógł uwierzyć, a jego czarne oczy zrobiły się tak duże, że w sali zapanował półmrok.

– Dwa – rzekł Pacjent spod Specjalistycznego Sprzętu do Podtrzymywania Funkcji Życiowych.

– Po dziesięć dają naraz – odezwał się pan Łukasz ze smutkiem.

Mieczysław wziął rękę Janiny, spojrzał jej ciepło w oczy, na tyle ciepło,

że synflex cieczeropodobny bardzo zapragnął zostać prawdziwą kawą.
– Trzeba by od nowa – powiedział, a w sali zrobiło się jaśniej tak.

Snoboholik

Zrzeszenie Producentów Drobiu Egzotycznego obradowało w pałacu w Ściegnie już drugi dzień. Jak zwykle, kwestie merytoryczne zeszyły na plan dalszy już w piątek przed południem, czyli na pół godziny po rozpoczęciu obrad. Zestawienia sprzedaży zostały zastąpione alkoholem, a raporty rynkowe – zagryzką.

– Do kieliszka boraquasco, lekko ocieplonego drugim i czwartym palcem lewej ręki najlepiej podawać owoce zezoli – mówił Cezary Pytłasiński, pijąc wódkę i zagryzając śledziem, a wszyscy słuchali go z wielkim zainteresowaniem. Ten szarmancki, przystojny mężczyzna o kruczoczarnych kędzierzawych włosach, z lekkim przykurczem lewej powieki (częstotliwość 4 do 7 razy na minutę) był dla drobiarzy uosobieniem dobrych manier i źródłem wiedzy o życiu na salonach.

– Panie Czarku, a nie ma pan, tak przy okazji, może kapinki tego boraku dla zacofanej bogaczki z Zapolszczyzny?

– Ha, ha, ha, ależ dla pani, moja droga Emilcio, gotów jestem sprowadzić na następny zjazd całą intarsjowaną brokatem skrzynię najlepszych trunków z całego świata – odpowiedział pan Czarek, a pani z Zapolszczyzny rozplynęła się pod stołem z zachwytu. – W tym także boraquasco. Bo-ra-kua-sko. I powtarzamy!

– Bo-ra-kua-sko! – krzyknęli wszyscy entuzjastycznie, a paru mężczyzn przykurczyło lewą powiekę.

Tylko Herman Klita nie powtarzał jak inni i jak zwykle był sceptyczny, co chronicznie pana Czarka deprymowało.

– A pan, panie Hermanku, co lubi z alkoholi świata?

– Compranocitellopatrone. Który rocznik pan poleca?

– Który rocznik? – powiedział wolno pan Czarek, dając sobie więcej czasu na odpowiedź.

compranocitellopatrone – ciężkie czerwone wino wytwarzane z gron uprawianych na południowych stokach góry Citello na małej hiszpańskiej wysepce Zicomprano de Ruya; jego produkcją, według ściśle chronionej reguły, zajmują się od trzech setek lat zakonnicy z klaszoru ojców tętniczian, znajdującego się na szczycie góry; rocznie wytwarzanych jest jedynie kilkaset ręcznie numerowanych butelek wina, cenionego za pełny bukiet rozwijający się najlepiej w godzinach sjeisty na południowych wybrzeżach Pilatesu; podawać z mięsem z rosółosia i adriatyckiej odmiany sznycla wędrownego; za najlepszy znawcy uważają rocznik 1989, leżakowany w beczkach zrobionych z drewna ze starej szopy na tyłach (oznaczenie „RQ”).

– Osiemdziesiąty dziewiąty – powiedział pan Czarek, ale nie do Hermana, tylko do siebie, i nie wtedy, tylko teraz, gdy siedział nad internetową księgą win wszystkich. Wtedy mina mu zrzedła, a męska część drobiarska drugi raz nie zrobiła przykurczu powiek.

Cezary Pytlasiński w chwilach porażek umiał się zmobilizować. Należał do ludzi, którzy uparcie dążyli do celu i potrafili poświęcić mu się do reszty, bez względu na przeszkody. Tak było i teraz:

– Już ja mu pokażę, kto tu się lepiej zna na winach. I w ogóle kto lepiej się zna – mówił do siebie pan Cezary i wziął się do pracy. – Mam trzy miesiące.

Trzy miesiące później, na następnym zjeździe drobiarzy Cezary Pytlasiński pokazał nowy model odtwarzacza DVDB zespolonego z systemem kina domowego i przenośnym salonem gier, a mieszczącego się w bocznej kieszeni spodni typu luźne bojówki z dużymi kieszeniami bocznymi na stelażu.

– Za trzy tysiące dolarów. W bezcłowym w Singapurze – chwalił się pan Czarek, a wszyscy robili wielkie oczy, i nawet Herman był pod wrażeniem.

– I byłeś w Singapurze? – pytał niedowiarek.

– A tak. Na zawodach golfowych i na zakupach. Wiesz, żona chciała w końcu kupić coś u Fanfaniego.

Kobiety zrobiły, odruchowo już, przykurcz lewej powieki, a Herman zgasł w oczach do końca zjazdu.

Trzeba zaznaczyć, że w przeciwieństwie do innych snobów, pan Czarek Pytlasiński nie przesadzał z koloryzowaniem. W przypadku Singapuru, rzeczywiście kupił w bezcłowym, ale nie on, tylko jego brat, steward linii Blizzair, a jego żona rzeczywiście poleciała na zakupy do Fanfaniego, z tym że do Pragi.

Pozytywnie zmotywowany ostatnim osiągnięciem, pan Czarek wziął się ostro do roboty, kompletnie nie zwracając uwagi na to, co jego pracownicy wyprawiają z drobiem. Pracował głównie nad sportami miejskimi, które chciał uczynić tematem przewodnim swojego pobytu na kolejnym zjeździe, ale nie zaniedbywał również tematów:

diety dla mężczyzn w sile wieku

kontakty z ludźmi showbiznesu

ewolucja golfa na starym kontynencie ze szczególnym uwzględnieniem górskiej specyfiki Chorwencji

wina białe a ryby słodkowodne hodowlane

sporty wiatrowo-wędkarskie

kontakty pozamałżeńskie

terapeuci na minutę rozmowy przez Escype inne z listy.

Kolejny zjazd. Pan Czarek witany jest entuzjastycznie, mimo że dużym zainteresowaniem tradycyjnej braci drobiarskiej cieszyli się nowi – silna grupa młodych zdolnych menedżerów z fermy kur egzemo-egzotycznych w Braci Pastewnej k. Buczyna.

– To jest kij do gry w rosyjskiego golfa. Uderza się nim nie w piłkę, ale w specjalnie skonstruowany granat. W momencie uderzenia następuje odbezpieczenie zapalnika zbliżeniowego, uruchamiającego ładunek rozrzucający w promieniu trzech metrów plastikowe kulki z farbą w kolorze, który w danym sezonie war-golfowym uważana jest za najbardziej kiczowaty. Wygrywa ten, który nie wróci do baru w kolorze kiczu.

Wszyscy byli pod wrażeniem, a jeden pan zrobił nawet przykurcz powiek, bo nie zorientował się, że autorem błyskotliwej wypowiedzi o war-golfie nie był ulubieniec drobiarzy pan Czarek, ale jeden z Pastewny Brothers (określenie wprowadzone później przez triumfującego Pytłasińskiego).

Pan Czarek musiał powalczyć o uwagę:

– A w kite-golfa graliście?

– Kite-golfa? – zdziwili się Pastewny Brothers wraz z połową upojonej piątkowymi trunkami egzotycznymi widowni.

kite-golf – nowy, ekskluzywny rodzaj golfa, zaliczany do sportów ekstremalnych; zawodnik uderza w piłkę w czasie lotu na paralotni; w wersji dla amatorów paralotnia może być wyposażona w silnik napędzany wzmocnionym biopaliwem; wygrywa ten zawodnik, który w przeliczniku 3,25:1 zaliczy najwięcej dołków w czasie jednego lotu, bez dotykania ziemi.

– W Szkopcji byłem siódmy, ale za to wyprzedziłem samego Petera Kinga. Wiecie, mistrza kite golfa z San Prego. No i poznałem na zawodach samą Christinę Paqualerę. Wiecie, tę piosenkarkę. No nie powiem, atrakcyjna była, a zwłaszcza z góry.

– Ale ona jest z tym aktorem, tym, no... – wciął się jeden z Pastewny Brothers.

– Z tym aktorem, albo z tym nieaktorem, wszystko się może zmienić, a zwłaszcza, jak ktoś prowadzi tak aktywne życie jak Christinka albo ja – rzekł konfidencjonalnie pan Czarek, a pani Zyta z Klimaszek, przerywając na chwilę delektowanie się cygaretką long-slim, krzyknęła:

– No wie pan, panie Czarusiu. A co będzie z nami?

Kobiety się zaśmiały, a pan Czarek powiedział:

– O was, moje miłe panie, nigdy nie zapomnę. Jesteście najmilszymi i

najpiękniejszymi drobiarkami, jakie znam.

– Najpiękniejszą to pan dopiero pozna na następnym zjeździe. Pani Aldonka, Miss Polonia. Kupiła fermę po panu Władeczkę, który się wycofał na pola rzepaku i kapusty – powiedział pan Jareczek z Czyszniowa, zagryzając mhiskey kawałkiem suszonego słonika morskiego.

Trzy miesiące wyteżonej pracy. Pan Czarek wiedział, że Pastewny Brothers już mu nie zagrozą, ale chciał być dobrze przygotowany na spotkanie z panią Aldonką. A dobre wyretuszowanie zdjęcia zajmie jego grafikowi całe dwa tygodnie.

– A to, zobaczcie, to jest zdjęcie moje, mnie, ja stoję z Borysem Dylindą.

– Tym z serialu Sierżant? – krzyknęła pani Elwira z Nałęczu, a pan Czarek zauważył kątem oka, że zdjęcie robi wrażenie i na pani Aldonce, która rzeczywiście była piękna, ale nie tak, by zostać miss.

– Tak, właśnie tym. Przyjechał do mnie na warsztaty stylizacji krawatów włoskich, razem z kilkoma znajomymi młodymi aktorami, równie przystojnymi, ale troszkę mniej znanymi.

– A Leszek Pieńko też był? – spytała nieśmiało pani Aldonka.

– Leszek, Leszek, chyba tak, ten taki...

– Ten taki łysy, gruby i pod sześćdziesiątkę – dodała zjadliwie pani Aldonka, a pan Czarek oblał się przezroczyście rumieńcem, bo nie mógł pokazać, że się w nim zagotowało.

– Ale nie wiem, czy wiecie, że Borys polecił mi terapeutę, wiecie, na wypadek, gdybym miał problemy sercowe.

– Ale Panie Czarku, przecież pan ma żonę! – krzyknęła pani Halinka z Góry, popijając mamernet, rocznik 99.

– Moja żona ma równie nowoczesne podejście do małżeństwa jak ja. Ostatnio spotyka się z tym biznesmenem od ropy naftowej, Klukiem. Nie powiem, niezmiernie miły i czysty facet. Ale wracając, i tu ciekawostka. Terapeuta udziela mi porad przez Escape'a, wiecie, bo nie mam czasu jechać do niego na wizytę – tu pan Czarek zawiesił głos, spodziewając się jakiegoś pytania, które będzie mu na rękę.

Pytanie zadała mu pani Aldonka, która ewidentnie miała problem z nadmiernym powodzeniem pana Czarka wśród drobiarzy i chciała go czymkolwiek zdeprymować:

– Za daleko ma pan do miasta?

– Pani Aldonko, jakie to było niegrzeczne, fuj – powiedziała zde gustowana pani Rysia z Węgorka, owijając się z odrazą ogonem kamforki syberyjskiej.

– W pewnym sensie za daleko, tym bardziej że miasto nazywa się Los

Bangeles – pan Czarek wstrzymał głos, by reakcje podziwu odpowiednio wybrzmiały, co też się stało. – Ale mam superszybkie łącze, więc nasze rozmowy odbywają się bez żadnych zakłóceń. Wiecie, mam system łączności bezprzewodowej AC-MAX.

Pani Aldonka pozostawała niechętna, a pan Czarek wziął się do pracy ze zdwojoną siłą:

– Wiecie, to są tabletki pobudzające korę mózgową do twórczego myślenia w systemie pracy zespołowej 3-7-3.

– Byłem na balu w ośrodku wypoczynkowym kancelarii prezydenta. No, nie powiem, paróweczka po helsku była całkiem, całkiem. A wicepremier Wiesio, śmieszny chłopak, ten Wiesio, może by go tu zaprosić na spotkanie z naszymi miłymi i inteligentnymi paniami.

– Przenośne urządzenie do produkcji siedemnastu najpopularniejszych enzymów. Ja dziś wybieram feromony, specjalnie dla pani Aldonki.

– Teraz normą w cywilizowanych krajach jest rodzina 3+1, wiecie. Dwie kobiety i jeden mężczyzna, lub dwóch mężczyzn i jedna kobieta, oraz jedno, i tylko jedno dziecko, którym dorośli opiekują się w systemie trzymianowym. Ja jestem tradycjonalistą, wiecie – poszukujemy z żoną miłej i atrakcyjnej pani. Chyba przetestujemy Helgę z Himilshaven, wiesz, pani Aldonko.

– A to jest, proszę mojego szanownego grona, specjalista światowej sławy, pan Gilmand de Borek, radiesteta światowej sławy, który potrafi dobrać dwie osoby doskonale pasujące do siebie na podstawie prądów ergo. Pan Gilmek światowej sławy bierze za sesję aż 900 euro, ale dla moich kochanych drobiarek zrobi to za darmo, światowej sławy. To jak, która z pań pierwsza, pani Aldonko?

Wysiłki pana Czarka były godne podziwu, a efekt aż nadto widoczny. Członkowie Zrzeszenia Producentów Drobiu Egzotycznego pili wytrawne, rzadko spotykane alkohole; grali w ekskluzywne, rzadko spotykane gry; znali wyjątkowych, rzadko spotykanych ludzi i mieli rzadko spotykane upodobania personalne. Ale pan Czarek nie osiągnął celu głównego: „zaimponować pani Aldonce, a potem się zobaczy”. Postanowił dopiąć swego i jeszcze lepiej przygotować się do następnego spotkania.

Teraz się uda. Teraz mi ulegnie. Teraz mam coś takiego, że wszyscy padną z wrażenia, a zwłaszcza moja pani Aldonka, myślał sobie pan Czarek, mocno przepracowany, ale zadowolony z siebie.

– A, witam, mesje Czarek – powiedziała pani Rysia z Węgorek Palace. – A wie pan, że poznałam tego Borysa, aktora. Bardzo miły i nawet podobał mi się jego występ aktorski na wieczorku u nas w pałacu. A to

wino pepperlot też dobre, zbyt kwaskowate w posmaku na drugim prze-
locie, ale generalnie kubki są zadowolone.

– A, to świetnie, a gdzie wszyscy, nie czekają na mnie? – powiedział
czujnie pan Czarek.

– A nie, wie pan. Bo przyjechał taki jeden nowy pan. Bardzo miły i też
wszystkim zaimponował tutaj, nawet bardzo, a panu Wojtkowi, wie pan,
temu, co dwa razy zmienił żonę i ma trzy kochanki, to najbardziej.

– A czym?

– A, to pan zobaczy sam.

Nowy pan nazywał się Nowak i siedział koło pani Aldonki. Pił piwo
lokalne i zagryzał orzeszkami solonymi.

– Mam żonę i dwóch synów, tak. Pracuję na dwie zmiany, bo tyrać
trzeba, a kaszanke to macie, bo zgłodniałem w podróży? W Bardzo
Tanich Liniach Kolejowych nie mają wagonu restauracyjnego.

– Naprawdę? – spytała czule pani Aldonka.

– A w hot pota pan umie grać, bo przywiozłem sprzęt, wie pan, za 9
tysięcy euro – dało się słyszeć ironiczny głos Czarka.

hot pot – gra towarzyska dla 2–6 osób, wymagająca sprzętu za 3–5 tys.
euro; polega na ściganiu się na przypominających patelnie pojazdach
poruszanych siłą mięśni twarzowo-szczękowych; wygrywa osoba, która
ucieknie największą liczbę razy, nie dopuszczając do zagrzania się po-
jazdu.

– A nie, ja tu się uczyć przyjechał – odpowiedział Nowak i przygładził
grzywke.

Pan Czarek zauważył, że paru mężczyzn pije lokalne piwo, więc w wa-
lecznym odruchu wyciągnął butelkę Palisander Liquor, ale nikt nie
zwrócił na to uwagi, bo Nowak opowiadał:

– A nioski to trzymam w takiej komórce, coby się nie stresowały od tłu-
mu, bo inaczej to i jedno jajo na dobę mniej przybędzie.

– Tak, aż jedno? – spytał pan Szymek, przygładzając lakierowanego
irokeza.

– A proposa jaj, czy jedliście jajo flemistrusia? Bardzo dobre! – krzyczał
pan Czarek, ale bez skutku, i wtedy usłyszał zbawienny dzwonek swojej
komórki Dla mojeg-o pan Carek o-ud Christina Paqualerra.

Zwróciła na to uwagę pani Aldonka.

– Może pan iść rozmawiać gdzie indziej? – poprosiła, a pan Czarek
zdażył jedynie krzyknąć do komórki:

– A, witam pana wicepremiera, panie Wiesiu, co słyhać? – zrobiło to
wrażenie jedynie na panu Wojtku, który był w poważnych tarapatkach
finansowych.

– Szefie, tu nie pan wicepremier, tylko Chojnacki z finansów. Dzwonie, żeby powiedzieć, że syndyk wszedł.
U pana Czarka Pytłasińskiego nastąpił prawie niewidoczny przykurcz prawej powieki.

Zakup impulsowy

Balbina Wachowiakowa robiła z mężem i synem zakupy w veryhipermarkecie. Wózek był w połowie wypełniony, a dopiero przejechali część spożywcza.

– Mama! Mama! Zobacz! Kubicar! Kubicar! – krzyczał Rafik, patrząc na metrowej długości model Formuły Zero z różnymi bajerami, a trzytomowy podręcznik ich obsługi mieścił się w niewielkim dwudziestolitrowym bagażniku w ogonie bolidu.

– Nie, Rafciu, nie mamy pieniędzy, musimy jeszcze kupić proszek do prania na trzy miesiące, bo w hipermarkecie osiedlowym jest o całe 25 groszy droższy na paczce.

– Mama ma rację – odezwał się ojciec rzeczowo.

– No dobra – zmienił ton Rafik z dziecięcego na dorosły. – Biorę białozielonego i spływamy stąd.

– Rafik. Nie! Mamy wydatki!

– Mama ma rację – powiedział ojciec i nieoczekiwanie skręcił wózkem w alejkę dla majsterkowiczów.

– Balbiś, zobacz. Multiwkrętarka ekologiczna! – wyrwało się ojcu Felicianowi, gdy zobaczył zestaw promocyjny z kompletem wiertel „three lifetimes guarantee”.

– Nie, Felik.

– Ale... Muszę dokręcić śrubkę w szafce. Wiesz, tej na górze z prawej strony, w naszym drugim pokoju gospodarczym.

– Felik. Nie ma mowy. Mamy wydatki. Nie pamiętasz, że jedziemy dzisiaj na urodziny do cioci Basi?

– Pamiętam, ale... – ojciec próbował ciągnąć negocjacje z chłopięcą niewinnością.

– Mama ma rację – uciał rzeczowo Rafik.

Gdy dojechali do kasy numer 221 swoim wózkiem widłowym z przyczepką, minęły trzy godziny i pięćdziesiąt dziewięć minut od przekroczenia przez nich bramek wjazdowych na halę numer 3.

– Nieźle, tylko trzy godziny dzisiaj – powiedział ojciec rzeczowo.

– No, a mama wybierała przecież przez całą godzinę prezent dla ciotki.

– Nie ciotki, tylko cioci – powiedziała mama.

Wybrała w końcu zupełnie bezużyteczny trzystuelementowy zestaw obiadowy. Ciotka miała już takie dwa, a mieszkała samotnie po tym, jak opuścił ją trzeci mąż, a zaraz potem siódmy konkubent.

– To wszystko? – spytała kasjerka po skasowaniu wszystkich produktów i zanim pani Balbina zdążyła odpowiedzieć, odtworzyła jeszcze z pamięci wyuczoną formułkę:

– A może życzą Państwo samochód pięcioosobowy w kolorze ekologicznego matu, z siedmioma poduszkami, czterostrefową tropikatyzacją, silnikiem przygotowanym do zainstalowania napędu ekologicznego i dwudziestoma opcjami dodatkowymi w standardzie.

– Tylko dwudziestoma? – spytał Rafik zawiedziony.

– Dziękujemy, mamy inne wydatki – powiedział ojciec rzeczowo.

– A bagażnik duży? – spytała pani Balbina.

– No... chyba tak – odpowiedziała kasjerka i dodała dalszą część wyuczonej formułki:

– Oferujemy dogodny zakup rozłożony na raty. Raty dwudziestozłotowe – co miesiąc lub co dwa. Dostępne kolory to bahama świerk, brzoza rzymska doublemat, trawa glamour. Tapicerka mech górski lub plaża egzotyczna.

– A bagażnik duży? – spytała mama jeszcze raz, ale raczej dla fasonu.

– No... chyba nie wiem.

– Dobrze, weźmiemy. Wie pani, zakupów dzisiaj dużo. Trawa glamour, plaża egzotyczna, raty miesięczne.

– Dobrze, proszę tu są kluczyki i dowodzik. Ubezpieczenie w schowku na dokumenty. Samochodzik stoi na tyłach po lewej. Tablice rejestracyjne aktywują się pięć minut po uruchomieniu silnika. Życzę szerokiej drogi.

– Dziękuję – odpowiedziała pani Balbina, ale po chwili dodała:

– Aha, poproszę jeszcze zapalniczkę.

Kasjerka zmarszczyła czoło i zaczęła coś sprawdzać w systemie kasowym:

– Zapalniczka, zapalniczka,... niestety nie mamy takiego produktu.

Kurs ul szyb czyt

Blanka i Edmundo pochłaniali książki hurtem i było im za mało. Wzięli udział w kursie ultraszybkiego czytania według metody Hi-Re.

Po trzech dniach intensywnych zajęć ukończyli kurs z wyróżnieniem. W nagrodę dostali najdłuższą powieść wydaną w ciągu ostatnich trzech lat – liczącą aż 24 strony „W poszukiwaniu straconego nawiasu kwartetu pisarskiego R-syndicate”.

Blanka pochłonęła:

Bro po dał kwia .przy dup dup kur kwa dosz – Nie, . , kon jest a pro rod ban trans gwa bit Prze! ... – – ?Chy kle bio szcze Jó gdzie rę no kie gro gor. .R kli rzę te ter. ,

Edmundo pochłonał:

.Dup – ;kur gaw szyb nie ja bądź dup dup dup je jej wesz oj, ha! Ha! te pon – dup kro gę gą przy od. Śpi w ćpa Spo szpet się ci pen. jen kon. dro iż . Nie!!!! co?

Blanka powiedziała:

– Według mnie to niesamowita powieść. Trzyma w napięciu, postaci wyraziste, dialogi iskrzące, narracja sprawna.

Edmund powiedział:

– Masz rację Blanko. To bodajże najbardziej fascynująca powieść tego lata, oj tak, a nawet nie bodajże.

Test inteligencji robotycznej

Anna bała się jak nigdy. Zbliżał się kolejny termin ewaluacji pracowników. Najważniejszą częścią był test inteligencji robotycznej RQ, badający stopień zrobotyzowania umysłu ludzkiego pod kątem niezawodności wykonywania działań standardowych, szybkości pracy, bezawaryjności, długości pracy bez restartu, liczby zadań wykonywanych jednocześnie.

W poprzednim teście Anna ledwie utrzymała się w normie, ale teraz miała problem z teściem, który wciągał w alkoholizm jej męża, oraz mężem, który wciągał w narkotyki jej teścia.

– Nie martw się Anka, jakoś to będzie. Ostatnio wylali tylko dwudziestu, bo podobno obniżyli próg RQ. Inaczej nikt by nie został – pocieszał ją Rajmund.

Zrobiła ostatnią próbę. Miała 145. O pięć za mało.

– Boję się – powiedziała cicho Anna.

– Zobaczysz, wyjdiesz za chwilę i będzie po wszystkim – Rajmund mówił pewnym tonem.

– Łatwo ci mówić. Masz 190, a poza tym nie jesteś taki stary jak ja.

– Nie bądź taka sceptyczna. Dwadzieścia trzy lata... to wcale nie jest tak dużo – pewność opuściła głos Rajmunda. Rzeczywiście: większość telemarketerów indywidualnych miała poniżej dwudziestki. Podobno każdy następny rok życia obniża RQ o pięć, dziesięć punktów.

Minęły cztery nieskończone minuty.

Anna wyszła i odetchnęła z ulgą mieszaną z postanowieniem rozprawienia się na dobre z alkoholem o smaku marihuasy.

– No i jak? Dobrze? – cieszył się Rajmund, bo siedząca obok Daria miała intencje raczej odwrotne.

– Chyba tak... – Anna ledwie zdążyła odpowiedzieć i od razu została wezwana do gabinetu weryfikacyjnego.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że nie wyrobiła pani normy.

– Jak to? Napisałam około 160 indywidualnych SMS-ów dwudziestoznakowych w ciągu minuty?

– Zgadza się, nawet 166. I ani jednego błędu. Ale norma RQ wynosi od tygodnia 170. Było wywieszane w tym, no. Przykro mi. Odprawa jest w sekretariacie. Dziękuję. Następny.

Rosół a priori

Pewien bezrobotny matematyk z Afroazji opracował prawo Ligadula, na podstawie którego przy wzięciu pod uwagę maksymalnej liczby zmiennych można było ustalić tak zwaną przyszłość bliską (liczoną w dniach, najwyżej tygodniach od daty ustalenia).

Pewien bezrobotny wynalazca z Ośmiogrodu opracował Futurobota – urządzenie, które wykorzystywało prawo Ligadula w najbliższym otoczeniu osoby z niego korzystającej.

– Słuchaj! No działa! – szczebiotała przez telefon Martyna. –Wiesz, włączyłam, wprowadziłam dane i wyszło mi, że Robi wróci do domu pijany i będzie wyrzucał meble przez okno, więc nawet nie sprzątałam!

– No i... – spytała leniwie Bożena, bo Robi od Martyny drugi mąż zupełnie jej nie interesował. Nie ten Robi.

– No i przyszedł i zrobił awanturę i mieszkanie jak po tornado! I powiem ci, kochana, że mi ulżyło. Wiesz, co by było, jakbym zrobiła wielkie sprzątanie. Rewelacja ten Futurobot. Mogę ci sprzedać jednego, bo akurat kupiłam więcej dla znajomych.

Bożena najpierw nie chciała, a potem chciała. Zaraz po tym, jak obejrzała na kanale TV Aneks Kuchenny powtórkę programu Przekąski Robiego.

Robi Przekąska. Kochał go cały kraj. Taki kruchy i czuły zarazem. Przystojny. Apetyczny. Z klasą wiosennego szczypiorku. Szanujące się panie i panowie domu za punkt honoru stawiali sobie przygotować potrawę według Robiego na piątkowy wieczór lub sobotni pierwszy obiad. Bożena też. I prawie zawsze jej się udawało. Z wyjątkiem rosółu z indykaczki. Niby takie proste, ale wywar nie był klarowny jak u Robiego, no i nigdy nie dało się go zjeść.

Kupiła Futurobota i już po pierwszym włączeniu wiedziała, że to był dobry zakup. Gdy wprowadziła dane o celu (rosół) i referencjach (Robi Przekąska), urządzenie powiedziało do niej upojnym głosem tej sławy polskiej kuchni:

– No to bierzemy się do pracy i głowa do góry, będzie dobrze.

Gotowało jej się wspaniale. Jak nigdy wcześniej. I szybko. W porównaniu z siedmioma godzinami wprowadzania danych te dwie godziny dochodzenia na wolnym ogniu to była ulotna chwila. Bożena wiedziała, że się uda. Musiało się udać – przecież wieczorem Franek zaprosił znajomych z ambasady, którzy chcieli spróbować czegoś

naprawdę polskiego.

Po dwóch godzinach Futurobot odetchnął z ulgą i powiedział czule:

– Moja pani. Proszę się częstować!

Poczęstowała się i o mało nie zwymiotowała. Znowu nie do zjedzenia, a nawet gorsze. Nie rozumiała, jak do tego mogło dojść, przecież w zależności od tego, jak rozwijała się sytuacja, robot korygował wprowadzanie nowych składników, na przykład musiała dołożyć jedną marchewkę więcej i wyrzucić z wywaru dwa ziarenka ziela angielskiego.

– Jak do tego doszło? – spytała Bożena z wyrzutem.

Robot nie odpowiadał.

– No jak, powiedz mi, co się z tobą stało?

Nic.

– Najpierw ci zaufałam, a teraz nic? Jak możesz.

Nic.

– Nawet słowa „przepraszam”?

Zamiast słowa „przepraszam” Futurobot wydrukował z dostawki drukującej kartkę:

*****Rosół a priori failure confirmed*****

PRZYCZYNY:

– zbyt dużo światła bezpośredniego – 1%

– za miękkie mięso – 7%

– za twarda woda – 9%

– inne – 83%

Lot po orbicie okołoziemskiej z niespodzianką

George Grushka był rozczarowany. Wsadzili go w ten raczej kaftan a nie kombinezon i nawet nie mógł zrobić sobie zdjęcia, zresztą chyba nawet nie chciał, bo w tym zielonkawym nadmuchiwanym, pikowanym świństwie wyglądał jak wielka grucha, a ważył przecież tylko 125,5 kilo.

– I to ma być to? – spytał kapitana, wskazując wzrokiem na okienko, za którym majaczyły otulone w ścisłą i brudną powłokę gazową zarysy kuli ziemskiej.

– Ale co? – odparł kapitan roztargnionym głosem. Zdaje się, że był całym sobą w grze komputerowej zainstalowanej nielegalnie jako nakładka na system automatycznego pilota promu okołoziemskiego, więc trochę czasu musiał mu zająć powrót do nudnej rzeczywistości.

– To! Czy to jest to, za co dałem 200 tysi Amereuro?!

– A, to – złapał kapitan i uśmiechnął się uśmiechem „o zesz, znowu to samo” do swojego drugiego pilota Melanie. – Wie pan, większość naszych klientów jest... zaskoczona tym widokiem. Wszystko przez te gazy stratosferyczne. Powinni w końcu zakazać ich emisji. Pasażer trochę się obruszył, a Melanie dodał, czy też dodała:

– Zdajemy sobie sprawę, że trochę to lepiej wygląda na zdjęciach, ale jak pan chce mogę dać pięknie wydany katalog.

– Co?

– Katalog z najpiękniejszymi zdjęciami ziemi z wysokości kilkudziesięciu kilometrów nad ziemią, przygotowany przez najlepszych fotografów i malarzy nadrealistycznych na świecie.

George Grushka, pierwszy Europejczyk polskiego pochodzenia w kosmosie, wziął broszurkę („katalog” to zbyt wyszukane słowo), burknawszy pod nosem „nie po to bułę 200 tysi, żeby oglądać zdjęcia”. Ale trzeba przyznać, że matka ziemia z tej wysokości wyglądała wyjątkowo źle. Jakoś tak szarawo i niewyjątkowo, nawet jak na cenę promocyjną lotu.

– Tylko do zwrotu, bo musimy się rozliczyć – uprzedził, czy też uprzedziła Melanie.

Pasażer komercyjny numer 0289/Mr.Grushka przekartkował parę stron, porównał z widokiem za oknem i zasnął. Zawsze zasypiał w czasie lotu, a latał dużo, bo dorobił się na handlu prawami do emisji gazów stratosferycznych (miał dojsca w odpowiedniej komisji europejskiej), więc potrzebowali go pod każdą szerokością geograficzną.

– Uwaga, tak zwany Houston! Mamy ten taki problem, mamy ten taki problem! – krzyczał kapitan w kierunku Grushki, co niechybnie oznaczało dla tego drugiego wybudzenie ze snu, w którym płynął w przestrzeniach i podpisywał lukratywne kontrakty na emisję dwutlenku węgla.

– Tak zwany Houston! Ten taki problem! – powtarzał, czy też powtarzała Melanie.

– Co to? – zainteresował się Grushka całym swoim owiniętym w pikowane świństwo jestestwem.

– Słowacki satelita szpiegowski na kursie! Słowacki satelita na kursie! – krzyczał kapitan, a oboje członkowie załogi dosyć dobrze udawali wciskanie przycisków alarmowych.

– Słowacki?

– Tak, model postnatowski. Wycofany ze służby po tym, jak wszystko można było zobaczyć w Booble Earth – odpowiedział kapitan i dodał w kierunku Melanie – przechodzimy na ręczne sterowanie. Korekta kursu o 3 stopnie w lewo. Wchodzimy na kurs opadający.

– A gdzie ten satelita, co na nas leci? – zainteresował się pasażer.

– A nie, nie. Nie zobaczy pan, bo właśnie nas minął, ale mogę puścić zapis z kamery – odpowiedział, ale raczej odpowiedziała Melanie i włączyła odtwarzanie.

– Ale tu jest data sprzed dwóch tygodni? – oburzył się biznesmen od gazów stratosferycznych

– Tak, faktycznie, dwa tygodnie temu mieliśmy podobną sytuację – włączył się czujnie kapitan i szybko uciał – teraz najważniejsze jest przygotowanie do przebywania w stanie nieważkości przez dwie minuty, a nie jakiś słowacki satelita sprzed dwóch tygodni. Czy jest pan gotowy na to wspaniałe przeżycie, którego doświadczyło jedynie – tu kapitan spojrzał w notatki – jedynie dwustu osiemdziesięciu ośmiu pasażerów komercyjnych?

– Jestem, chyba. Co mam robić?

– Po prostu poczuć się lekko.

Grushka czuł się lekko przez jakieś trzydzieści sekund, a potem poczuł się ciężko i zachciało mu się wymiotować. Torebka była już przygotowana i Melanie wręczyła ją pasażerowi wystarczająco szybko, by zawartość trafiła do nieważkości wewnątrztorbkowej, a nie zewnątrztorbkowej.

Gdy tak pan od dwutlenku węgla oglądał pełną torbkę, nie mógł

opędzić się od stwierdzenia:

– No i co, dałem 200 tyś, żeby pooglądać sobie zdjęcia i własne rzygi? Niezapomniane wrażenia, nie ma co.

– Takie niespodzianki zdarzają się wielu naszym pasażerom, ale z tym satelitą to miał pan szczęście, nie każdy ma tyle atrakcji – westchnął kapitan tonem uspokajającym. – No, wracamy na ziemię. Muszę zdążyć do domu przed ósmą, bo żona wychodzi na jogę.

Loved this book ?
Similar users also downloaded

Krakatonga

Rzeka bez powrotu

Zbiór absurdalno-paranoicznych tekstów o samotności w wielkim mieście, niebezpiecznej miłości, tęsknocie i wzdargdzie. To także transawangardowa, po części autobiograficzna opowieść o lęku, z wątpieniu i nocy.

Piotr Kowalczyk

Opublikuj książkę w Feedbooks

Praktyczny przewodnik jak krok po kroku opublikować książkę w serwisie Feedbooks.com.

Łukasz Trynka

EMIGRADACJA

abecadło pokolenia luzerów, literatura fucktu, emigracyjne gównno i takie tam



www.feedbooks.com
Food for the mind